ROK III. PAŹDZIERNIK TOM X (XXVIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Skład w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 2 октября 1903 года

Treść tomu X, październikowego 1903 r.,
ogólnego zbioru XXVIII.

ILLUSTRACYE:





Ksiądz Augustyn Kordecki.

Kopia obrazu, znajdującego się w skarbcu na Jasnej-Górze.

Ksiądz Augustyn Kordecki.

Na kartach dziejowej przeszłości
Jest imię, co gwiazdą rozbłyska,
Promieniem przedziwnej jasności,
Co trysło z Bożego ogniska,
Odblaskiem pogodnych lśnień zorzy —
To przeor Kordecki, mąż Boży.

Nie zdobił go pancerz stalowy,
Nie nosił przyłbicy na skroni,
A sławy blask dziwnie tęczowy
Za jego postacią wciąż goni,
I nigdy w zapomnień mgle ona,
Jak słowo natchnione — nie skona.

W klasztorze, w zakonnym habicie,
Jak gołąb lśniąc swoich szat bielą,
W czas groźny narażał swe życie,
I wieki pod nogi mu ścielą
Wołanie, co blaskiem lśni słońca:
— Kordecki, Maryi obrońca!

Gdy szwedzka potęga, jak lawa,
Co z wnętrza wulkanu wytryska
I żarem powietrze napawa,
I łuną na niebie odbłyska,
Gubiła nasz kraj bez oporu —
Zastygła u murów klasztoru.

On jeden, jak okręt na fali,
Nie zniknął w ognistej topieli,
Gdy wszystko już Szwedzi zabrali,
Lud cały do kolan przygięli,
Gdy inni ulegli bez słowa,
Nie dała się wziąć Częstochowa.

Choć grady kul na nią upadły,
Ogniste polały się deszcze —
Załogi strach nie zdjął pobladły,
I widma nie zmogły złowieszcze;
Kordecki wciąż krzepił jej ducha,
A życie tam jest, gdzie — otucha.

U Maryi ołtarza brał siłę,
A potem szedł z krzyżem na wały,
I słowa, jak dźwięki harf miłe,
Z ust jego natchnionych leciały
I wiary do serc siały ziarna,
A siejba ta była nie marna.

W kul gradzie, w ognistym potoku,
On serca pokrzepiał zwątlone
I mówił: „Przy Maryi nikt boku
Nie zginie!“ i dłonią w jej stronę
Wskazywał, a Ona swą dłonią
Tych wiodła, co sławy Jej bronią.

I szwedzka prysnęła nawała,
Jak mgły przed słonecznym połyskiem,
I Jasna się Góra ostała
I słońce nad ojców siedliskiem
Błysnęło i czarem owiało
Świątnicę Maryi wspaniałą.

A ten, co jej bronił przed wrogiem
I bój wiódł szlachetny, choć krwawy,
Jak gołąb śnieżysty — przed Bogiem,
Przed ludźmi — mąż święty i prawy —
Żyć będzie w potomnych pamięci
W tym blasku, co wielkich skroń święci!

Wspomnienie o wielkim przeorze
Na wieki się musi pozostać;
Jest pomnik przy cichym klasztorze:
Świętego kapłana ma postać
I zda się słoneczne promienie
Skroń w wieczne mu stroją jaśmienie.

Z niebiańskim uśmiechem anioła
Krzyż trzyma w spiżowej prawicy
I nim błogosławi dokoła:
I miastu, i cichej świątnicy,
I polom, i lasom, i wioskom —
I łaskę sprowadza im boską.

A gdy kto tamtędy przechodzi,
To zawsze swe kroki zatrzyma,
Żar dumań myśl jasna ochłodzi
I usta pobożne pielgrzyma
Dziękczynna modlitwa porusza,
I dziwnie pięknieje mu dusza.

I zda się, że nieb jasne głębie,
I błękit pogodny bez chmury,
I srebrne w powietrzu gołębie,
Co się tam kołyszą u góry
I wietrzyk, i drzew cicha mowa,
Co ranek w te łączą się słowa:

„O, bądź pozdrowiony, ty, święty,
Śnieżysty, anielski rycerzu,
Ty, duchu miłością przejęty,
W nadziei bezmiernej pancerzu,
Ty, silny i wolą i czynem —
Zaprawdę Maryi tyś synem!

Zofia Wł. Zacharkiewiczówna.



Klasztor po Cystersach w Jędrzejowie

O pięć mil od Kielc, leży starodawne miasteczko Jędrzejów, stolica powiatu jędrzejowskiego, gubernii kieleckiej. Rozłożyło się nad rzeczkami Brzeźnicą i Jasionką, z których pierwsza je przerzyna, a druga opływa. Trakty bite łączą je z całym szeregiem miast i miasteczek, więc: z Kielcami, Miechowem, Szczekocinami, Myszkowem, Pińczowem, Skalbmierzem. Uboga to mieścina, cokolwiek więcej nad 3 tysiące ludności posiada. Znajdują się w niej obecnie: dwa kościoły murowane, sąd gminny, urzędy powiatowy i gminny, dwie szkoły początkowe, szkoła niedzielna dla rzemieślników, szkoła dla kształcenia nauczycieli ze szkółką wzorową, stacye pocztowa i telegraficzna, schronisko dla starców i kalek.

Nazwaliśmy Jędrzejów miejscowością starodawną nie bez słuszności, gdyż są ślady, że istniało już w r. 979, a nawet wznosił się tam już wówczas pono kościół murowany. Wówczas jednak była wsią i inną nazwę nosiła: zwała się mianowicie Brzeźnicą. Dopiero w końcu XII stulecia przezwano ją Jędrzejowem, jak twierdzą niektórzy — od imienia jednego z opatów tamtejszego klasztoru. Do godności miasta wyniesiony został Jędrzejów znacznie później, przez Bolesława Wstydliwego. Ten monarcha obdarzył mieszkańców Jędrzejowa prawem niemieckiem, uwolnił ich od wypraw wojennych i od robocizn przy wznoszeniu zamków, a w przywileju nadmienił, iż wyłącznie opata klasztoru tamtejszego zarządzeń słuchać mają. Pamiętali o Jędrzejowie także późniejsi monarchowie i biskupi polscy, okazywali zaś pamięć swoją pomnażając swobody miasta i dobra tamtejszego klasztoru. Do tych dobrodziejów należał biskup krakowski Paweł, król Władysław Jagiełło i inni. Aliści dowody piśmienne tych przywilejów zniszczone zostały przez pożar, który około r. 1510 Jędrzejów nawiedził. Mieszkańcy wtedy udali się do króla Zygmunta Starego z prośbą, o wydanie nowych dokumentów. Król, przychylając się do prośby, wyznaczył komisyę, która wybadawszy

pod przysięgą mieszczan, jakie im prawa i swobody służyły, zdała o tem relacyę dokładną. Wówczas Zygmunt przyznał miastu prawo niemieckie, targi co tydzień i trzy jarmarki w roku. Ponieważ okazało się z zeznania mieszczan, iż obowiązani byli dostarczać na każdą wyprawę wojenną: wóz czterokonny z woźnicą, dwóch ludzi pieszych i łożyć na ich utrzymanie; nadto, ponieważ obowiązani byli dawać podwody i opłacać podatki, jakie tylko stany królestwa uchwalą: tedy Zygmunt w przywileju zastrzegł, iż wszelkie wymienione ciężary i powinności mieszkańcy Jędrzejowa ponosić mają i nadal. Przywilej Zygmunta Starego potwierdzali jego następcy: w r. 1533 Zygmunt August; w r. 1581 Stefan Batory; w r. 1751 August III; wreszcie w r. 1778 Stanisław August. Miasto w ten sposób zabezpieczone rosło w zamożność, było ludne i dobrze zabudowane, ku czemu znacznie się przyczyniała sława klasztoru, o czem niżej powiemy. Wprzód jednak nadmienimy pokrótce o zdarzeniach dziejowych, których widownią był Jędrzejów.

Pierwsze z tych zdarzeń sięga r. 1195. Wtedy Mieczysław, Starym zwany, książę wielkopolski, znaczne zebrawszy siły, swoje i pomocnicze, usiłował wydrzeć władzę Leszkowi Białemu, księciu krakowskiemu i monarsze Polski. Panowie i rycerze krakowscy, dowiedziawszy się o tem, postanowili bronić prawowitego władcy do ostatniego tchnienia. Jakoż zgromadziwszy zastępy zbrojne z ziem: krakowskiej, sandomierskiej, lubelskiej, mazowieckiej, kujawskiej, brzeskiej i innych, nadto wezwawszy do pomocy Romana, księcia włodzimierskiego, pośpieszyli na odpór włościom, zagrożonym przez Mieczysława Starego, który dotarł z hufcami swemi do klasztoru jędrzejowskiego i o mil cztery od niego, nad rzeką Mozgawą, rozłożył się obozem. Tam przyszło do bitwy. Krakowianie, wiedząc, że oddziały posiłkowe jeszcze się z Mieczysławem nie połączyły, natarli na niego gwałtownie. Skrzydło lewe prowadził książę Roman, prawe Mikołaj, wojewoda krakowski; Goworek zaś, wojewoda sandomierski, pozostał w odwodzie. Trwała bitwa od 9 rano do wieczora. Obydwie strony walczyły zawzięcie. Chociaż z jednej i drugiej strony—opowiada dziejopis—występowali bracia, krewni, powinowaci, świekrowie i zięciowie, — jednak nikt nie powstrzymywał się w zapędzie, nie zawściągnął oręża; nikt bratu, przyjacielowi, krewnemu nie przebaczył: ale siekąc się nawzajem, jak najsroższi nieprzyjaciele, krwawą przedłużano walkę. Gdy więc ani ci, ani owi ustąpić nie chcieli, stała się rzeź straszliwa, stosy trupów zaległy pole bitwy.

Nawet książęta-przywódcy nie uniknęli ciosów. Syn Mieczysława Starego, Bolesław, w oczach ojca pchnięty rohatyną, spadł z konia i ducha wyzionął. Sam Mieczysław Stary, raniony przez jednego z pieszych wojowników, który następnie coraz gwałtowniej na niego nacierał, zginąłby niechybnie, gdyby nie był zrzucił z głowy szyszaka, nie dał się po-

znać i nie błagał o zmiłowanie. Wojownik nacierający, wzruszony majestatem księcia i jego siwizną, nietylko życia mu nie wziął, ale uniósł go z pola bitwy i do ucieczki nakłonił. Roman, książę włodzimierski, raniony kilkakrotnie, też umknął z placu boju.

Dopieroż kiedy tłumy rycerstwa, z obydwóch stron, bądź poległy, bądź wskutek ran osłabły, ustała walka, która z taką toczona była zaciekłością, że obydwie strony zarówno mniemały się być zwyciężonemi. Nikogo też nie znaleziono na pobojowisku z innemi jeno z przodu otrzymanemi ranami. Pokrewne oręża, szyki bratnie, spólne znaki wojenne, synowie jednej ojczyzny, jednego języka plemieńcy, szałem zaślepieni,— raz pierwszy wtedy ze sobą po nieprzyjacielsku walczyli. Tylko Mieczysław opolski w trwodze powszechnej dotrzymał placu, a stąd chlubił się, iż przy nim tryumf zwycięstwa ostał.

Mieczysław ten, książę opolski i raciborski — objaśnia dziejopis — wraz z bratankiem swoim Jarosławem, synem Bolesława Wysokiego, księcia wrocławskiego, właściwie w bitwie nie uczestniczył. Nadciągnął bowiem późno, kiedy już obydwa wojska z pola bitwy pierzchały. Nadciągnąwszy, wstrzymał i zebrał do gromady rozsypujące się rycerstwo Mieczysława Starego, zajął plac bojowy i z podniesionemi znakami na nim stanął, obyczajem zwycięzców. Goworek, wojewoda sadomierski, chciał mu wydrzeć ten tryumf pozorny. Zgromadził rozpierzchłe rycerstwo krakowskie, a nie zważając na szczupłość sił, na znużenie wojowników, wystąpił do rozprawy z Mieczysławem i walczył mężnie. Gdy jednak celniejsi z jego towarzyszów polegli, a reszta nie zdołała sprostać mnogości nieprzyjaciół, osądziwszy, iż uciekać byłoby dla niego sromotą, oddał się żywcem w ręce przeciwnika i długo potem znosił niewolę. Mieczysław, książę opolski, obawiając się ponownego natarcia krakowian, zabrawszy Goworka i wielu innych jeńców, opuścił pole bitwy; dowiedziawszy się zaś od szpiegów i gońców, że Mieczysław Stary, ciężko ranny, został przewieziony do Poznania, — wraz z bratankiem swoim, Jarosławem, cofnął się na Śląsk.

Drugie zdarzenie dziejowe, dotyczące Jędrzejowa, sięga r. 1235. Wówczas Konrad, książę mazowiecki, chcąc odebrać Henrykowi Brodatemu, księciu śląskiemu, opiekę nad nieletnim Bolesławem Wstydliwym, księciem krakowskim, wkroczył z wojskiem swojem i posiłkowem w granice ziemi krakowskiej, mniemając, iż łatwo tamtejsze miasta i zamki zdobędzie. Zawiódł się, bowiem napotkał dzielny opór. To go więcej rozsrożyło. Trawiony żądzą zemsty, kościół Ś-go Jędrzeja, wznoszący się pod zamkiem krakowskim i nie objęty wtedy jeszcze murami, a także kościoły w Prędocinie, Skarbimierzu, oraz klasztor w Jędrzejowie, pozamieniał w warownie, załogami silnemi osadził i dostatkiem żywności opatrzył.

Pierwszy to z książąt polskich — opowiada dziejopis — który świątynie Boże poważywszy się w ten sposób gwałcić i na użytek wojenny przeznaczać, haniebny, gorszący przykład następcom swoim ukazał. Gdy zaś te niezbożne przygotowywał warownie, Henryk Brodaty podchodził go i urywał zaczepnie, nie staczając jednak walnej bitwy, mniemał bowiem, że snadniej go zwłoką niż wstępnym bojem pokona. Jakoż Konrad, przyciśnięty wieloma trudnościami, straciwszy znaczną część wojska, na Mazowsze się cofnął, ale załogi w obwarowanych świątyniach i w klasztorze jędrzejowskim zostawił. Henryk z kościoła Ś-go Jędrzeja rycerstwo Konrada wyforował, po kilkomiesięcznem oblężeniu. W pobliżu zaś Prędocina, Skarbimierza i Jędrzejowa pobudował trzy zamki i z nich załogi Konrada niepokoił. Trwał taki stan do r. 1237, z wielką oczywiście dla ziemi krakowskiej klęską. Dopiero w r. 1237, gdy Bolesław Wstydliwy został usamowolniony, przez co pretensye Konrada do opieki nad nim upadły, załogi mazowieckie opuściły trzy wyżej wspomniane miejscowości.

W r. 1419 odwiedził Jędrzejów król Władysław Jagiełło, dążąc do Wiślicy, gdzie otrzymał wiadomość o zgonie króla czeskiego, Wacława. Tenże monarcha r. 1430 dłużej w Jędrzejowie bawił i wtedy mu Jan Nałęcz Czarnkowski, podkomorzy poznański, doręczył przejęte od posłów Zygmunta, króla rzymskiego, korony, przeznaczone dla brata Władysława, Witolda, wielkiego księcia litewskiego, oraz dla małżonki jego Julianny, a także pisma, zatwierdzające wieczyście akt koronacyi i inne, niemniej ważne, świadczące, iż Witołd zawarł przymierze wieczyste z Węgrami, Czechami i Krzyżakami, celem oderwania Litwy od Polski i utworzenia samoistnego Królestwa Litewskiego.

W r. 1526, znaczna liczba rycerstwa, przeciwna wyborowi na króla polskiego cesarza Maksymiliana, a pragnąca widzieć na tronie Stefana Batorego, zgromadziła się w Jędrzejowie na walne obrady. Przybyło też wielu senatorów. Poseł Batorego, Hieronim Filipowski, dziękował zgromadzonym za ich przychylność dla jego mocodawcy. Wówczas nadto uchwalono małżeństwo Anny Jagiellonki ze Stefanem Batorym.

W końcu maja 1592 r., zjechali do Jędrzejowa: kanclerz wielki koronny, Jan Zamoyski, wielu wojewodów i kasztelanów, celem naradzenia się przeciwko małżeństwu Zygmunta III, z Anną, córką arcyksięcia Karola, tajemnie, bez wiedzy i zezwolenia stanów Rzeczypospolitej ułożonemu, które jednak przyszło do skutku.

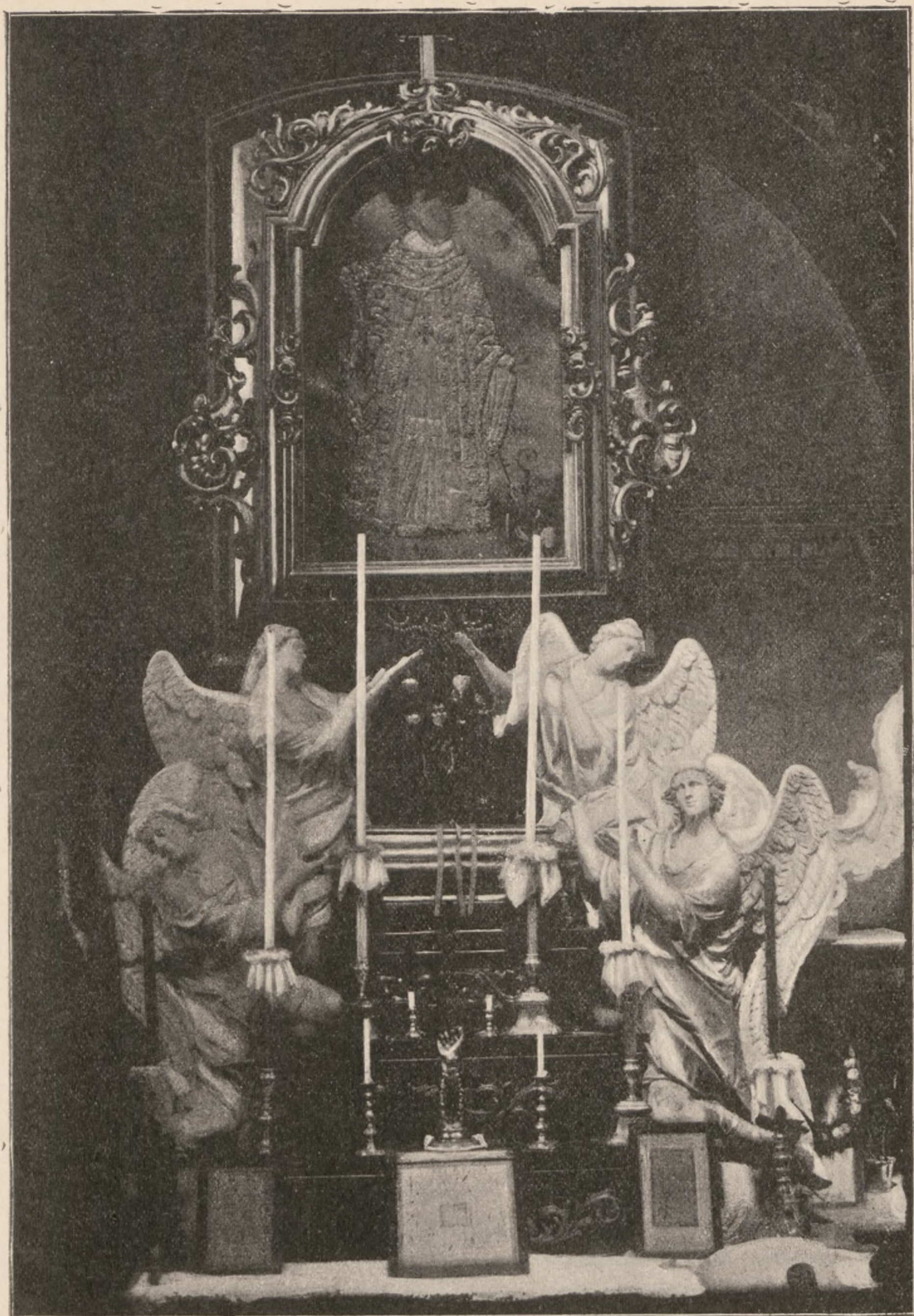
W r. 1607, w czasie rokoszu, wznieconego przez Zebrzydowskiego, zjechała się do Jędrzejowa szlachta, oraz przybył Zebrzydowski, wojewoda krakowski, aby uchwalić zgromadzenie wojska.

Do zabytków najstarszych w Jędrzejowie należy kościół parafialny, pod wezwaniem Ś-ej Trójcy. Istniał tu bowiem kościół parafialny jeszcze

wtedy, kiedy Jędrzejów był wsią i nosił nazwę Brzeźnica. Poświęcić go miał i dziesięciną wyposażyć, za czasów króla Bolesława Krzywoustego, biskup Maurus, który na krakowskiej stolicy biskupiej zasiadał od 1109 do 1118 r. Atoli gmach pierwotny nie ostał się czasowi. Istniejący obecnie wzniósł, jak się zdaje, opat Mikołaj, herbu Odrowąż, w XV stuleciu. Świątynia wygląda dość okazale, szkoda tylko, że ją zeszpecono zewnątrz otynkowaniem. Dach ma ostry, gontami kryty, a wewnątrz sklepienie ścian filarami podparte. Na ścianie potrójnej, zewnątrz, znajdują się wypukłe, w kamieniu wyrzeźbione, herby Prus i Odrowąż, nadto tablica kamienna z napisem gotyckim, również wypukło rzniętym, którego jednak część zaledwie pozostała. Zdaje się, że tablica owa pochodzi z r. 1479, a napis objaśnia o przebudowie świątyni. Ściany wewnętrzne kościoła malowane są na mokro, wcale niezgorzej. Nagrobków w kościele widzimy sześć. Najdawniejszy z nich jest wzniesiony ku uczczeniu pamięci Łagowskiego i małżonki jego, Doroty ze Słupskich, zmarłych r. 1595 — 1596. Grobowiec to z marmuru siwego, bez żadnych ozdób, z samym tylko napisem. Grobowce pozostałe należą do proboszczów miejscowych, którzy zajmowali oraz wyższe w hierarchii duchownej dostojeństwa, a wszyscy byli dobrodziejami swego kościoła.

Atoli zabytkiem najważniejszym Jędrzejowa, również wielce starożytnym, są gmachy po Cystersach. Znajdują się one o ćwierć mili za miastem, w miejscowości zwanej Brzeźnicą. Nazwaliśmy je zabytkiem najważniejszym, bo nietylko przemawia za niemi starożytność, ale jeszcze dwa inne względy, mianowicie: stanowią one jeden z najpiękniejszych pomników dawnego budownictwa w Polsce; w klasztorze, będącym ich główną treścią, schronił się ongi, usunąwszy się od świata, zrzekłszy się dostojeństwa biskupiego, jeden z pierwszych naszych dziejopisów, mąż Boży, który po śmierci w poczet Błogosławionych zaliczonym został — Wincenty Kadłubek, tam żywota świętobliwego dokonał i mogiłę znalazł. O tak ważnej pamiątce godzi się trocha obszerniej powiedzieć, co też uczynimy.

Przedewszystkiem objaśnić winniśmy czytelnika, że zakon Cystersów był właściwie zakonem Benedyktynów, jeno regułę miał ściślejszą. Nazwę swoją otrzymał od opactwa, położonego w Burgundyi, wśród lasów i skał, w miejscu zwanem Cisternum. Założycielem jego był Robert, opat Benedyktynów w Molesme. Nosili Cystersi habit biały, z czarnym szkaplerzem. Najsłynniejszy ich klasztor, założony w r. 1175, istniał w Altenedlle, w Saksonii. Sprowadzeni do polski Cystersi serdecznego doznali przyjęcia, rychło też ich klasztory na ziemi polskiej się rozmnożyły. Istniały tedy: w Jędrzejowie, w Lędzie nad Wartą, w Wągrowicach nad Wełną, w Oliwie, w Sulejowie, Wąchocku, Koprzywnicy,



Ołtarz z wizerunkiem Błogosławionego Wincentego Kadłubka w świątyni po-cysterskiej w Jędrzejowie.

Ołoboku, Mogile, Obrze, Paradyzie, w Szczyszycach, Bledżewie, Koronowie, Owińsku, Pelplinie, w Przemenice, Wistyce i w Kimbarówce.

Do Jędrzejowa, który wówczas Brzeźnicą się jeszcze nazywał, sprowadzili Cystersów w r. 1111 dwaj bracia Gryfowie: Janisław i Klemens, z Morybundu w Burgundyi i klasztor im tutaj w r. 1149 wystawili. Gryfami zwano ród założycieli klasztoru Cystersów w Brzeźnicy, bo w herbie mieli gryfa, zwierzę bajeczne. Ojciec Niesiecki tak ten herb opisuje: „W polu czerwonem gryf biały, którego połowa przednia od głowy, orła z nosem zakrzywionym, z językiem wywieszonym, z dwiema szponami w górę wspiętemi, także z dwiema skrzydłami do lotu wzniesionemi reprezentuje; druga zaś połowa lwa z dwiema łapami, na których stoi, z ogonem z pod łap w górę zadartym, okazuje. Nad tarczą również pół gryfa, ale bez szponów, jeno ze skrzydłami i z trąbą.“ Mówiąc o tym herbie, Ojciec Niesiecki zastanawia się nad tem: zali istnieją rzeczywiście gryfy na świecie, a rozważania jego godzi się chociaż streścić, doskonale bowiem odtwarzają łatwowierność dawnych czasów. Pisze tedy znakomity dziejopis rodzin szlacheckich tak:

„Czy istnieją na świecie gryfy? — ciekawa między uczonymi autorami kwestya. Wielu, ci mianowicie, którzy głębiej prawdy nie szukając, samemi się płonnemi uwodzą powieściami, wierzy w istnienie gryfa i naznacza mu siedlisko w Tracyi, Indyach albo Tartaryi, lecz każdy z nich inaczej go przedstawia. Ten ptakami chce gryfów mieć, których wzrost do wilków naszych dochodzi; ptaki te jednak mają cztery nogi, pazury lwie, szyje modre, piersi czerwone, resztę ciała w piórach, ślepie jaskrawo ogniste. Inny gryfa podobnym do konia czyni. Inszy wyobraża go, jako pół orła, a pół lwa, takiej zaś potworze wielkość ośmiu lwów lub stu orłów daje i taką siłę, że słonie i smoki zmaga, dwóch wołów razem, albo konia z jeźdźcem, szponami, wielkości rogów wołowych, w powietrze unosi. Inszy dodaje, że gryfowie gór złotych strzegą i gniazda swoje złotem wyściełają.“ Nie wierzy tym baśniom Niesiecki, bo żaden z wymienionych przez niego autorów gryfa własnemi oczyma nie widział: „Okrążyli świat cały marynarze, największe zwiedzili knieje, niedościgłe zbiegali kąty, przecież nigdzie zgoła podobnego nie naleźli zwierza.“ Przypuszcza natomiast nasz uczony, że gryfy są to orły, ale olbrzymiego gatunku i tak przypuszczenie stara się uzasadnić:

„Zygmunt Herberstein, który do Moskwy posłował, opowiada, że tam znajdują się ptacy, do orłów naszych podobni, ale tak wielcy i srogiego pozoru, że na ich widok nietylko jastrzębie, krucy, lecz same nawet orły od gwałtownego strachu zdają się trupieć. I Jerzy Fabrycy świadczy, jako pomiędzy Miśnią a Dreznem znaleziono orle gniazdo, na trzech potężnych dębach usłane, w które nietylko odarte z cieląt

i baranów skóry, nietylko świeżo tam przyniesionego żubra, ale także niedorosłe orlę oglądał, którego skrzydła rociągnione miały siedm łokci długości, pazury tego orlęcia były tak grube, jak palce dobrze spasłego człowieka, a nogi i giczele długością i grubością lwim dorównywały.“

Po tych dobrodusznych rozważaniach, zapewnia nas Niesiecki, że herbem Gryf szczycili się dawni książęta słowiańscy, którzy przed Piastem nad szczepem Lechitów panowali, a założyciele klasztoruw Brzeźnicy, bracia Jan i Klemens, byli właśnie potomkami tych książąt. Dziejopis Długosz tak o założeniu klasztoru rzeczonego opowiada:

„Słynął temi czasy chwalebny zakon Cystersów, którego pobożnością ujęci i zbudowani dwaj mężowie z domu szlacheckiego Gryfów, Jan, czyli Janik, naprzód biskup wrocławski, a potem arcybiskup gnieźnieński, kapłan świętobliwy, wraz z bratem Klemensem, we wsi swojej, Brzeźnicą zwanej, założyli klasztor Cystersów i na utrzymanie braci zakonnych ośm wsi wieczystym nadali posagiem, a mianowicie: Brzeźnicę, Rakoszyn, Potok, Łysaków, Łątczyn, Rachów, Tarszawę i Chorzewo. Sprowadzeni mnisi z klasztoru morybundzkiego w Burgundyi zamieszkali pierwsi w tym klasztorze, stąd on klasztor przez wielu zwany był morybundzkim. Zaraz po jego założeniu, Ś-ty Bernard (zrodzony z znakomitego domu hrabiów Castilione), który w dwudziestym drugim roku życia swego obrawszy stan duchowny, z trzydziestu towarzyszami przywdział szatę zakonną, a dla cnót wybornych i świętobliwości życia, jaką w początkach już okazywał, powierzony miał zarząd klasztoru w Clairvaux, — ten Ś-ty Bernard wybrał się w towarzystwie braci swoich do Polski, dla zwiedzenia nowozałożonego klasztoru, aby utwierdzić zakonników brzeźnickich w powołaniu i powinnościach zakonu, swoją nauką i przykładem. Ale gdy w ciągu tej podróży przybył do Spisy, pobożny jego zamiar, klasztorowi, do którego dążył i Polakom tak zbawienne obiecujący korzyści, zniweczyła ciężka choroba, którą wstrzymany i obawiając się jej zwiększenia, wrócił do swego klasztoru w Clairvaux. Założyciele zaś i nadawcy rzeczonego klasztoru Cystersów, Jan arcybiskup gnieźnieński i rycerz Klemens, żadnej innej nie nałożyli na niego powinności, tylko, iżby, na pamiątkę otrzymanego uposażenia, im i najbliższym z ich krwi potomkom, mieszkańcy Brzeźnicy składali serca zabitych bydląt i trzody, oraz ze sprzedawanych w mieście śledzi po kilka sztuk z każdej beczki oddawali. Od tej małej daniny, potomkowie założycieli pozwolili opatowi jędrzejowskiemu wykupić się i powinność tę umorzyć.“

Z biegiem czasu klasztor otrzymuje nowe nadania. Długosz mówi o nich pod rokiem 1154:

„Gdy klasztor Cystersów, założony we wsi Brzeźnicy, na gruncie szlacheckiego domu Gryfów, w dyecezyi krakowskiej, nader szczupłe

miał uposażenie, tak, iż dochody jego nie wystarczały na utrzymanie mieszczących się w nim pobożnych mnichów: przeto Jan, arcybiskup gnieźnieński, który pierwszym był jego założycielem, kiedy jeszcze, jako duchowny, niższe zajmował stopnie, teraz mu odkazał pewne, do stołu arcybiskupiego należące, dziesięciny. Już też pierwej kościół tameczny, zanim się stał klasztornym, miał udzielone sobie, naprzód od Maura, a potem od Radosta, biskupów krakowskich, pewne dziesięciny biskupie. Od tego czasu, klasztor jędrzejowski, znacznie podpomożony, utrzymywać się począł z własnych dochodów i dotąd za łaską Bożą kwitnie. Nadał zaś rzeczonemu klasztorowi Jan, arcybiskup gnieźnieński, wsi swoje dziedziczne: Brzeźnicę, Rakoszyn, Potok, Łysaków, Łątczyn, Rachów, Tarszawę, Chorzewą, nadto snopowe dziesięciny z tychże wsi, do stołu arcybiskupiego należące. Maur także, biskup krakowski, poświęcając rzeczony klasztor, nadał mu dziesięciny snopowe ze wsi: Marowic, Przewięclan, Konar, Michowa, Węglowa. Radost zaś, inny biskup krakowski, przydał mu dziesięciny snopowe z dóbr stołowych biskupstwa krakowskiego, to jest ze wsi: Borowy, Przekopy, Łuniowa, a wszystkie te dziesięciny obydwaj biskupi rzeczonemu klasztorowi zapisami upewnili. Wspomniany Jan, arcybiskup gnieźnieński, odstąpił nadto temuż klasztorowi jędrzejowskiemu dziesięcinę snopową z Holuszy, należącą do stołu biskupiego. Tenże nadał mu dziesięcinę z pięćdziesięciu pługów, którą potem szczegółowo oznaczył na wsiach: Złotniki, Skotniki, Rembieszyce, Jaślikowice, Żarczyce, Zdanowice, Czaczów, Brzeszna, Brzem. Tenże arcybiskup nadał klasztorowi jędrzejowskiemu dobra dziedziczne: Ujazd, Błonie, Zarzece, Błonice, Skowrodno, Kamieńczyce, które był otrzymał w spadku, po swoim krewnym, Śmilu; nakoniec, nadał klasztorowi wsi przez siebie kupione: Dzierżążnę, Busków, Tropiszów, Białą, Bezd, Mirzewę.“

Z kolei dobrodziejem klasztoru jędrzejowskiego okazał się biskup krakowski Gedeon. Kronikarz pisze o nim: „Ten wiele dziesięcin snopowych od samego stołu biskupiego dwom klasztorom: jędrzejowskiemu i miechowskiemu, wiecznym posagiem nadał, a to z szczególniejszej ku nim przychylności, a może i z tego względu, że obu tych klasztorów założycielami byli członkowie szlachetnego rodu Gryfitów, od których i on ród swój wyprowadzał.“

W licznym poczcie dobroczyńców klasztoru jędrzejowskiego spotykamy oraz Błogosławionego Kadłubka. „Ten — opowiada ks. Jaroszewicz — postępując w szczodrości swojej ku Bogu, z dóbr swoich dziedzicznych dwie wsi: Czerników i Gryczów, klasztorowi jędrzejowskiemu na wieczne czasy darował, klątwą pogroziwszy i sądem Boskim synowcom swoim, jeżeliby się ważyli kiedy je odebrać.“

Mąż Boży a biskup krakowski, o którym wspominamy, osobliwie sobie klasztor jędrzejowski upodobał, tak, że w r. 1218 schronił się do niego, przywdział habit zakonny i tam życia dokonał. Długosz utrzymuje, iż uczynił to „zważając, jako urząd jego biskupi połączony był z wielu troskami i przygodami; pragnął się więc wydobyć z tego niebezpiecznego odmętu.“ Uzyskał pozwolenie Papieża Honoryusza III, udał się do klasztoru jędrzejowskiego, „gdzie podówczas święty zakon Cystersów szczególną słynął pobożnością, przyjął szatę i śluby tego zakonu, i z świętobliwego stawszy się jeszcze świętobliwszym, począł w ubóstwie naśladować Chrystusa, ostrością życia żołdować w zaciągu Niebieskiego Pana. Zzuł z siebie szatę biskupią, aby bezpieczniej przepłynąć mógł tę powódź grzechów światowych, która między nami i Bogiem środkuje i żywot nasz przedziela od portu zbawienia. Duch jego, unosząc się w swoich pragnieniach do rzeczy niebieskich i szczytu najwyższego dobra, nie mógł tego przenieść, aby tkwił w marnościach ziemskich, jakoby w cieniów pomroce. Wolał zatem doskonalić swój żywot w ostrym pobożności zakonie i zwracać myśl ku promieniom niebieskiego światła.“

Ks. Jaroszewicz inaczej o wstąpieniu do klasztoru Błogosławionego Kadłubka pisze, mianowicie: „Dziesięć lat na pasterstwie niespracowany biskup przepędził, a myśląc o szczęśliwym końcu, postanowił u siebie złożyć infułę, a zakonny habit i życie przyjąć u Cystersieńców. Do wykonania tego zamysłu był mu powodem i taki przypadek. Piorun ognisty uderzył w skarbiec katedralnego kościoła krakowskiego i wszystkie aparaty kościelne w perzynę obrócił. Bolało to bardzo Wincentego i lubo tę szkodę szkatułą własną zastąpił, przecież obawiając się, czy to Pan Bóg nie za jakie ułomności jego tę kaźń na przybytek Swój spuścił, otrzymawszy pozwolenie od Honoryusza III Papieża, w klasztorze się jędrzejowskim Bogu na wieczną służbę zamknął.“

Ponieważ żywot Błogosławionego Kadłubka, ojca dziejopisów polskich, niedawno w „Dzwonku Czestochowskim“ umieściliśmy,*) przeto tu nie powtarzamy go w całości, natomiast opowiemy pewne szczegóły, dotyczące Męża Bożego i klasztoru jędrzejowskiego, któreśmy w żywocie jeno pobieżnie dotknęli. Tedy Starowolski pisze, iż Błogosławiony Kadłubek „pięć lat w ukryciu zakonnem chwałę niebieską skarbił, do której poszedł pełen dni i zasług w r. Pańskim 1223. Ciało jego w ziemi pogrzebł Teodoryk, Francuz, drugi opat jędrzejowski, w szatach biskupich i piękny mu nagrobek postawił. Czterysta lat w ziemi spoczywało to ciało, aż Bartłomiej Powsiński, opat jędrzejowski, myśl podnie-

*) **Tom V 1901 roku.**



Klasztor po Cystersach w Jędrzejowie: Wspaniałe odrzwia w dawnych zabudowaniach klasztornych, dziś ku ruinie się chylących.

sienia kości jego z ziemi powziął. Śmierć mu dokonać tego nie pozwoliła. Dopiero Remigiusz Koniecpolski, biskup chełmski i opat jędrzejowski, przy bytności Piotra Gembickiego, dziekana krakowskiego, a na ten czas administratora biskupstwa krakowskiego, oraz przy tłumnym napływie wiernych, grób Kadłubka otworzył i kości święte wyjął, a te potem, r. 1633, w ołowianą trumnę przełożono i w marmurowym nagrobku zamknięto.“

Słowo jeszcze o puściźnie Błogosławionego Męża: o dziejach ojczystych, przez niego opisanych. Pracę tę przedsięwziął Kadłubek z polecenia króla Kazimierza II, a stanowi ona nietylko jeden z najcenniejszych zabytków dziejopisarstwa polskiego, lecz jest niewyczerpanym skarbcem dla dziejopisów. Długosz powiada o niej: „Wydał Kadłubek kronikę, obejmującą dzieje krajowe, w gładkim i szykownym stylu, którą tak rozumnie i z taką napisał dokładnością, że się zbliżył do starożytnych pisarzy, od wieku cenionych i uwielbianych. Wiele obcych opisując dziejów i obszerniej je niźli swoje wyłuszczając, rozmaite historyczne zdarzenia i cokolwiek dla Polaków sądził stosownem a przydatnem, z dziwną nadobnością w dzieje swoje powplątał. Więc Polacy czytają ją z uwielbieniem, a zachwyca ich także jego wdzięczne wysłowienie.“

Błogosławiony Kadłubek w pracy dziejopisarskiej okazuje się mężem niepospolicie uczonym i dobrze pojmującym obowiązki odtwarzacza dziejów narodu. We wstępie do swojej „Kroniki“ powiada: „Mamy bowiem nie swawolić, lecz stanąć u podnóża świętego senatu; nie po to, by opiewać cieniste bagien sitowia, lecz złote podpory ojczyzny. Nakazują nam nie lalki gliniane, lecz trwałe przodków wizerunki z łona niepamięci dobyć, z najstarożytniejszej kości słoniowej wyrzezać; co więcej — zmuszają nas Boskiego światła kagańce w królewskim grodzie zawieszać, uczyć i opisywać wojny. Co innego jest rzucać się zuchwale, z nieprzezornością warchoła, z żądzy pokazania się, z pragnienia zysku: a co innego, gdy spada na nas obowiązek działania. Nie podnieca mnie bowiem ta gorączka piśmidlarska, ani dźwiga żądza jakiej takiej chwały, ani rozpala szał do byle zysków, aby po doświadczeniu tylu przyjemności na morzu, po tylu znojach ledwie uniknionych rozbić, znów w tych samych wirach szukać przyjemności rozbicia. Albowiem tylko oślemu podniebieniu smakuje, jak sałata, ocet, i tylko zgoła nierozumny chwyta się na słodycz ckliwą. Wszakże niesłusznie jest sprzeciwiać się od sprawiedliwego nakazu. Zrozumiał to Kazimierz, najdzielniejszy z panów, że nauki wszelkiej dzielności, wszelkie wzory uczciwości z przykładu ojców, jakby z jakich zwierciadeł, najlepiej błyszczą. Pewniej kroczy się drogą za tropem przewodnika, za kierownictwem światła i piękniejszy jest wizerunek obyczajów, który starożytność na wzór urabia. Tedy szczodrze darząc udziałem potomków w cnotach przod-

ków, on, Kazimierz, mnie, piszącemu twardem piórem, jakby trzciną, włożył wielki ciężar na barki. Nie inny może powód ku temu go skłaniał, jak ten, że złota rudawość, że kleynotów blask nie szpetnieje przez grubiańskość robotnika, jako i gwiazdy najbrzydszemi Murzynów wskazywane palcami nie czernieją. Ani to zadaniem wykwintnego kunsztmistrza żelazo czyścić od rdzy, a złoto wyzwalać od rudy. Skoro więc głupstwem jest walczyć z ciężarem, którego uniknąć nie można, pokuszę się wedle sił, byleby mi towarzyszyła drużyna tych, którzy tej drogi początek otaczają ciepłem spółczuciem; którzy przypadkowi na stromej a błędowi na niepewnej drodze nie będą się dziwili; przez których życzliwość ciężar nie będzie ciężarem i zmarnowany nakład nie okaże się stratą. W drodze bowiem przyjemne towarzystwo stanie za ułatwienie. To wreszcie — błagam — niech mi będzie przez wszystkich przyznane, by nie wszyscy bez braku do sądu o nas należeli, lecz tylko ci, których zalicza wytworność umysłowa lub obejścia się głośna znajomość, dlatego, żeby ktoś nas nie sponiewierał, zanim rzecz zbada najstaranniej. Imbier bowiem smakuje tylko pożuty; w przelocie nic nie zachwyci; jest zaś nie po obywatelsku sądzić coś, nie zbadawszy. Kto więc skromnie chwali, jeszcze skromniej gani.“

Roztropność, przezorność, mądrość, wiedza głęboka, tryska z każdego słowa świętobliwego męża i znakomitego dziejopisa.

Wracamy teraz do opisu zabytków jędrzejowskich.

Otóż na pamiątki po Cystersach składają się gmachy: kościoła, opactwa, klasztoru, a także ogrody rozległe. Wszystko opasane jest murem, z którego w pewnych odległościach wyskakują nizkie jakoby baszty, dając całości pozór obronnego grodu. Obwarowania te są zapewne zabytkiem po Konradzie, księciu mazowieckim, który, jak już nadmieniliśmy wyżej, kościoły i klasztor w ziemi krakowskiej przekształcił na zamki. O kościele klasztornym dawni dziejopisowie mówią, jako o gmachu pięknym, z kamienia wzniesionym. Klasztor już za Długosza był murowany, posiadał w obrębie swoim „strumień i sad owocowy obfity.“ Do XV stulecia, zakonnikami w Jędrzejowi byli sami niemal Włosi i Francuzi; dopiero po tym czasie przeważają Polacy.

Częścią najdawniejszą gmachów rzeczonych jest właściwy klasztor, którego szerokie, w koło biegnące korytarze do licznych cel zakonników prowadziły. Po dziś dzień wskazują celę, w której miał przebywać Błogosławiony Wincenty Kadłubek, a chociaż tradycya ta na niczem pewnem się nie opiera i chociaż budowa gmachu jest znacznie późniejsza od XII wieku: przecież sława, jakiej po śmierci zażywa ojciec dziejopisarzów polskich i mąż Boży, cześć, z jaką przechowywano zwłoki jego w tymże klasztorze i późniejsza, za długiem staraniem opatów osiągnięta wreszcie w r. 1764 beatyfikacya (zaliczenie w poczet

Błogosławionych) onegoż, są dostatecznemi powodami do wiary, iż zachowano jeżeli nie rzeczywiście samą celę Kadłubka, to przynajmniej pamięć o miejscu, w którem była.

Gmach opactwa, właściwiej zaś mówiąc, — sam pałac opatów, z kościołem i klasztorem stykający się w murach, które dotychczas się przechowały, sięga budową drugiej połowy XV wieku. Dwie, na krużganku dolnym wmurowane tablice kamienne, z których jedna ma wyryty r. 1475, a druga, wypukło wyrobiony napis w słowach: „*Nicolaus Odrovons hujus coenobii Abbas, hoc opus fecit*“ („Mikołaj Odrowąż, tego klasztoru opat, ten gmach zbudował“), wskazują datę budowy i fundatora. Obszerne, w dziedzińcu klasztornym, stajnie, kuchnie, składy i inne budynki gospodarskie, nadto obmurowanie i ozdoby niektóre ogrodu, jak naprzykład — szczątki wodotrysku i cysterny (zbiornika wody), zdają się być odnawiane w XVIII stuleciu.

Najlepiej przechował się kościół, należący niewątpliwie do najwspanialszych świątyń w Polsce, fundowany, jak już wiemy, r. 1149. Przebudowany był kilkakrotnie, jak się zdaje, ostatnio w XVIII stuleciu. Posiada piękną facyatę i dwie wieże wyniosłe, które pomimo nizkiego położenia gmachu, z daleka już się ukazują. Wewnątrz tylko sklepienia o starożytności świątyni mówią. Całość wzniesiona jest z ciosu, a pokryta blachą miedzianą.

W świątyni uderza bogactwo marmurów w odrzwiach i ołtarzach, prześliczny styl całej nawy głównej, wspartej na czterech z każdej strony arkadach, które oddzielają onę od naw bocznych, a także, zblakłe już dzisiaj, lecz widoczne na sklepieniu głównem freski, wyobrażające dzieje założenia klasztoru. Wejście główne znajduje się nie naprzeciwko ołtarza wielkiego, lecz z lewego boku, stosownie do umieszczonej w murze obwodowym dzwonnicy. Ołtarzy murowanych widzimy dziewięć, dziesiąty na ścianie tylko osadzony. Kaplic, z lewej strony do kościoła przymurowanych, jest dwie: jedna Ś-go Michała, która następnie za zakrystyę służyła; druga Wincentego Kadłubka, mniej więcej w połowie długości kościoła, — w niej szczątki Błogosławionego, trumną metalową objęte, na ołtarzu są umieszczone.

W r. 1800 kościół i klasztor dotknęła klęska pożaru; ogień zniszczył wtedy bibliotekę, w której znajdowały się dowody fundacyi klasztoru, pisma własnoręczne Błogosławionego Kadłubka, list Ś-go Bernarda do Ojców Cystersów oraz inne zabytki. Dokumenty, które ocalały z pożogi, przeniesione zostały do archiwów rządowych. W latach 1806 i 1817 przedsiębrano lecz nie dokonano odnowy kościoła i klasztoru.

Do zabytków godnych uwagi, przechowanych w kościele, należą jeszcze: grobowiec Pakosława, kasztelana krakowskiego, zmarłego roku 1319 i wielkie organy, niegdyś w całym kraju najsławniejsze. Po po-

żarze w r. 1800, kościół jędrzejowski odnowił i blachą miedzianą pokrył przedostatni opat Niegolewski. Skasowanie Cystersów nastąpiło w r. 1817; kościół jędrzejowski następnie w zaniedbanie poszedł i ruiną groził. Dopiero w r. 1858, Ojcowie Reformaci, objąwszy go, znacznym kosztem go podźwignęli i w doskonałym utrzymywali porządku. Były prowincyał Ojców Reformatów, ks. Czerwonka, wielce się w tej mierze zasłużył.

Obecnie również prastara świątynia jędrzejowska we wzorowym utrzymywana jest porządku. Biskup dyecezyi, Jego Pasterska Mość ksiądz Kuliński, niemniej baczną zwraca uwagę na ową niezmiernie cenną puściznę wieków dawnych, ze względów dziejowych i religijnych tak ogółowi wiernych Polaków-katolików drogą. Ogół ten wiernych trwale przechowuje cześć dla świątyni jędrzejowskiej, wsławionej cudami, jakie spływają tam na błagających Boga Najwyższego pomocy, za sprawą załug Błogosławionego Wincentego Kadłubka. Cześć owa wyraża się w częstych pielgrzymkach, tłumnych zwłaszcza w 2-ą niedzielę października, to jest w dzień poświęcony przez Kościół nasz święty pamięci Błogosławionego. W roku bieżącym również do grobu Wincetego podążyły liczne rzesze, dając świadectwo, iż wiara w sercach naszych wciąż płonie jasno, silnie, opierając się zwycięsko szatańskim podstępom bezbożności. I rozpamiętywały rzesze owe czyny świętobliwe Błogosławionego, zanosiły serdeczne do niego modły o umocnienie ich w wierze ojców, w miłości dla Boga, w nadziei pozyskania żywota wiecznego. A obok tych modłów, serca zwracały się do Panienki Najświętszej i błagały Ją słowami starodawnej pieśni:

„Bogu Rodzica Dziewica, Bogiem sławiona Marya, u Twego Syna władna, Matko, z woli Bożej, Marya, uproś nam odpuszczenie win! usłysz nasz głos, napełnij myśli człowiecze, usłysz modlitwę, kornie ją zanosimy, racz nam dać na świecie zbożny pobyt, a po śmierci rajski przebyt. Kyrie eleison!“





Klasztor po Cystersach w Jędrzejowie: Wspaniałe filary, ocalałe od ruiny.



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana Naszego Jezusa Chrystusa
według Ewangelij Świętych opowiedziany
przez Sługę Bożego.

Wielkie powołania — nadmienia słynny pisarz kościelny — nadają kierunek życiu, wypełniają wewnętrzną działalność duszy, skupiają myśli, postanowienia, uczucia w jeden punkt główny. Jakoż Boże powołanie całkiem pochłaniało Jezusa — oświecało Go, wspierało przez długie lata nazarejskie. Przez cały okres ukrytego w Nazarecie życia Jego, Duch Boży Sam sprawował wzrost Jego, przygotowując Go do dzieła Swego. Jezus wszystko wziął od Ducha Bożego, nic od ludzi. Czy bowiem mistrz ludzki mógłby wtajemniczyć Go w sprawy, przewyższające pojęcia ludzkie? Wszystko, cokolwiek widział, pragnął, czuł, postanawiał, — wszystko to spływało na Niego przez natchnienie Boże. Pogląda jeno w Siebie. Słowo Jego jest echem pełnem, przenikliwem, natchnionej Jego świadomości. Nigdy nie waha się, nie stąpa niepew-

nie. Jest panem Siebie, czyni, co chce. I gdy nadejdzie godzina, On, rzekomo Syn cieśli, wynijdzie z ukrycia Swego nazarejskiego i rzeknie z powagą, spokojem, mocą:

— „Wypełniły się czasy, Królestwo Niebieskie przybliżyło się, nawróćcie się, żałujcie i wierzcie!"

Tak się odezwie, zjawiwszy się raz pierwszy na widowni publicznej, a w słowach tych streści cały Swój żywot publiczny, całe powołanie i zadanie Swoje, objaśniając zarazem to, co powiedział w dwunastu leciech do Maryi i Józefa, mianowicie:

— „Nie wiedzieliście, iż w tem, co jest Ojca mojego, potrzeba abym był?"

Zwracamy się teraz do społeczności żydowskiej. Poznaliśmy już ją w chwili przyjścia na świat Jezusa, lecz od tego czasu upłynęło lat bezmała trzydzieści, a przez ten okres dużo się w jej stosunkach zmieniło. Błędy, uprzedzenia, zabobony bujniej się rozkrzewiły, namiętności się zaogniły, wzrosły też nadzieje i pragnienia, ku ujrzeniu rychłemu Mesyasza skierowane. Z tem wszystkiem musimy się poznać bliżej.

Owóż, społeczność żydowska w tym momencie, kiedy Jezus ma rozpocząć działalność Swoją, była dziwnie rozstrzeloną na rozmaite gromady, jak gdyby zupełnie sobie obce. Więc przedewszystkiem spostrzegamy wśród niej starodawne, znamienite rody możnowładcze i kapłańskie, z których powoływano kapłanów najwyższych. Do rodów takich należeli: Kanitowie, Hananowie, Boethosowie, Fabichowie. Kapłaństwo najwyższe przetworzyli oni po prostu na świetne zyski przynoszący interes i o ten interes zawzięcie się dobijali, nie przebierając w podstępach, przekupując wyższych dostojników rzymskich. Lud nienawidził tych możnowładców, pysznych, nadętych, bez serca, bo doznawał od nich ucisku i pogardy. Niby pijawki krew, tak oni wysysali z ludu grosz ostatni, pod pozorem dziesięcin i podatków, a prowadząc życie zbytkowne, ubóstwu ludu urągali. Przytem możnowładcy świeccy i starszyzna kapłańska ulegała służalczo rządowi rzymskiemu, którym się każdy Żyd prawowierny brzydził, gdyż Rzymianie byli poganami i zagarnęli ojczyznę żydowską Ta okoliczność zwiększała nienawiść ludu.

Doszło do tego, że arcykapłani, mianowani i usuwani dowolnie przez starostów rzymskich, wszelkie u ludu stracili zachowanie. „Lud nietylko ich nienawidzi, ale gardzi nimi, rzuca na nich obelgą, szyderstwem, przeklina. Nienawiść ta, niby fala niczem niepowstrzymana, coraz wyżej wzbiera i z brzegów wylewa. Za lat dwadzieścia takie śpiewy będą rozbrzmiewały na ulicach Jerozolimy:

— Biada Boethosom! Niech będzie przeklętą ich włócznia!

— Biada Kantharosom! Niech będą przeklęte ich pióra oszczercze!

— Biada Hananom! Niech będzie przeklęty ich świst gadzinowy!

— Biada Fabim! Niech będzie przeklęta ich pieśń nikczemna!“

Owe przekleństwa rozdrażnionego ludu dają nam dokładne wyobrażenie o nienawiści jego dla możnowładców, zarazem pozwalają domyślać się, ile cierpieć musiał od nich i przez nich ten lud biedny. Jakoż możnowładcy wzystkie dobra świata tego zagarniali dla siebie: sami byli najwyższymi kapłanami, ich synowie piastowali niezmiernie zyskowne urzędy podskarbich, zięciowie — dozorców świątyni; ich służba kijami traktowała biedaków. Dzień w dzień prawie ów lud bezbronny widział, jak owa służba napadała na jego bojowiska i gumna, jak zagrabiała przemocą wszystko, co się dało, nibyto na poczet należnych ich panom podatków i dziesięcin, jak zrozpaczonych bez litości biła, roztrącała, kaleczyła. Wielu z onych kapłanów najwyższych przywłaszczyło sobie bezczelnie wyłącznie prawo hodowli bydląt, potrzebnych na ofiary religijne. Tak naprzykład, Hananowie założyli na Górze Oliwnej targowiska, gdzie hodowali i sprzedawali gołębie ofiarnicze i słynęli z nadzwyczajnej zręczności wyciskania z tego rzekomo pobożnego rzemiosła obfitych dochodów. Nie wahali się, przekraczając aż do oburzenia władzę swoją, naciągać, przeinaczać przepisy religijne, aby tym sposobem zmuszać wiernych do jak najczęstszego kupowania gołębi na ofiarę w świątyni. Oczywista, gołębie niesłychanie wzrosły w cenę. Starszyzna kapłańska napychała kieszenie swoje, zaś kapłani pomniejsi i lud marli z głodu.

Czy trzeba dodawać, że wśród onej rzeszy bogatych zdzierców rozpowszechniała się z dniem każdym więcej zupełna obojętność religijna? Ci wyrodni synowie Aarona i Lewiego wcale się nie troskali o przyobiecane ich ojcom Królestwo Boże, a jednak najściślej przestrzegali wszelkich przepisów Zakonu. Tworzyli rdzeń, główną podstawę stronnictwa, zwanego saduceuszami, to jest — sprawiedliwymi. Stronnictwo to, złożone głównie z kapłanów, nie trzymało się przesadnej pobożności faryzeuszów (o których niżej też się powie), lecz poprzestawało na samej tylko sprawiedliwości, gdyż tego jeno wymagał Zakon. Saduceusze, we wszystkiem, co dotyczyło obrzędów religijnych, byli nieugięci; prawowierność ich pod tym względem była żelazna, niewzruszona. O życie przyszłe, po za grobem, wcale się nie troszczyli, natomiast troszczyli się jeno o dobra i rozkosze doczesne. Troszczyli się zatem o ścisłe utrzymanie już ustanowionego porządku, o utrzymanie dobrych stosunków z Rzymianami, o zachowanie zdobytych urzędów lub zdobycie nowych, słowem o dostatki, wygody, używanie życia.

Przyjrzyjmy się z kolei uczonym, piśmiennym, doktorom w Zakonie biegłym, pamiętając, że *doktor* znaczy właściwie *uczony*, od wyrazu łacińskiego *doctus*; w Ewangelii ta nazwa oznacza też nie lekarza, jak ją dziś rozumiemy, lecz uczonego, który zgłębia Zakon Mojżesza.

Odkąd Thora, to jest Księgi Mojżeszowe, tak wielkie u Żydów zdobyła sobie znaczenie, iż stała się, równie niemal jak świątynia jerozolimska, jednem z głównych ognisk religijnego i społecznego ich życia, piśmienni i doktorowie, inaczej mówiąc—znawcy, zgłębiacze Thory, zgłębiacze Zakonu Mojżesza, zajęli ważne wśród Żydów miejsce, stanęli obok starszyzny kapłańskiej. Kapłanów zajmowały wyłącznie obrzędy ofiarne; uczonych — wiedza religijna. Kapłanom urodzenie daje prawo do zaszczytnych czynności obrzędowych, — uczonych dostarczają klasy bogate i ubogie. Uczeni tedy, będąc wyobrazicielami wiedzy religijnej, obrzędowej, praw moralnych i sądowych, objaśniają księgi Mojżesza, w których te wszystkie prawa i przepisy są zawarte. Znaczenie ich z dniem każdym rośnie, wkrótce też przerastają wpływem kapłanów, wydają sąd o wszystkiem Nietylko zgłębiają Thorę, nietylko uczą lud, jak ją rozumieć, lecz sami najwierniej, najściślej wypełniają wszelkie jej przepisy, nie dopuszczają do siebie żadnych wpływów pogańskich, walczą z zepsuciem, jakie rozsiewają wszędzie Rzymianie. Starają się nadto być Żydami w każdym calu, uważają się za uosobienie sumienia narodu żydowskiego. Pamiętają najdrobniejsze zdarzenia ze słynnych dziejów izraelskich; pamiętają wszelkie obietnice, jakie Bóg dał ich ludowi, obietnice—zapowiadające mu świetną przyszłość. Thora dla nich jest wszystkiem, bo zawiera wszystką przeszłość Żydów i przepowiednie wspaniałego ich przeznaczenia; uczy tej sprawiedliwości Zakonu, przez którą stają się miłymi Bogu, a wskutek tego zapewnia w przyszłości Żydom i ich religii tryumf nad tryumfy. Uczonych nazywano faryzeuszami, co znaczy — oddzieleni, wyłączeni, czyści, od wyrazu hebrajskiego *parusz* (odłączenie, wyróżnienie). Trzymali się oni z daleka od wszystkiego, co nie żydowskie, pogardzali, brzydzili się tem. Wszelka zgoda z poganami, wszelkie zastosowanie się do zwyczajów pogańskich, uważali za nikczemność, zdradę narodową, świętokradztwo. Owe dwa stronnictwa: saduceuszów i faryzeuszów prowadziły ze sobą walkę zawziętą, gorszącą, z wielką krzywdą dla ludu, a trwała ona przez dwa ostatnie wieki dziejów narodu żydowskiego.

Faryzeusze posuwali się aż do skrajności w zasadach swoich, do tego stopnia, że zasłużyli na klątwę Jezusa. Zaślepiając się własnowolnie, zamykając umysł i serce przed zwracającą się do nich Prawdą żyjącą, nietylko, że nie mogli pojąć zdarzeń, na które patrzyli, ale najuporczywiej, najzawzięciej sprzeciwiali się ustanowieniu i rozkrzewieniu Królestwa Bożego. Zagłębieni w Torze, widzieli w niej jeno wyrazy, litery, ale treści jej właściwej nie pojmowali. Rozumie się, że to ich musiało na manowce wprowadzić. Coraz bardziej oddalali się od moralności, przywiązując się natomiast wyłącznie do rzeczy zewnętrznych, do obrzędów. Nie zwracali uwagi na świętość duszy, troszczyli się je-

dynie o zapewnienie świętości prawom Zakonu. Według nich, obowiązek człowieka nie polega na spełnianiu woli Bożej, lecz na ścisłem stosowaniu się do przepisów Zakonu. Zaślepieni przestrzeganiem obrządków zewnętrznych, ceremonij, nie dbali o umocnieniu siebie i ludu w cnotach, lecz wszelkie usiłowania zwrócili ku pomnożeniu obrządków. Za świętego uważali nie tego, kto namiętności swoje poskramia, kto Boga i bliźniego miłuje, lecz tego, kto częściej i ściślej pości, więcej ślubów czyni, więcej obmyć odbywa, więcej ofiar do świątyni niesie; kto sutszą odzież modlitewną nosi; kto chodzi pochylony, ze spuszczonemi oczyma; kto umie w dni postów żałośniej twarz układać; kto w sabat nie maści głowy, nie myje twarzy, nie pozdrowi nawet przyjaciela; kto głośniej i dłużej się modli. Taka pobożność była maską, obłudą, sztuką udawania, fałszem; była płaszczykiem przewrotności i próżni duchowej.

W gronie takich doktorów — powiada pisarz kościelny — nie mógł się zjawić mąż słynny. Głośni, prawdziwie uczeni, jak Szemaia, Abtalion, Hillel, Szammai, którzy za panowania Heroda Wielkiego przyczynili się głównie do zrozumienia Zakonu, już nie żyli; miejsca ich zajęły głowy płytkie, mierne, zapędzające się w przesadne dociekania w nierozsądne drobiazgi. Istotną naukę zastąpiły gorące, zapalczywe rozprawy, dotyczące drobiazgów obrzędowych. Sprzeczano się naprzykład o to: Czy w dzień Przebłagania kadzidło powinno się zapalać przed miejscem Świętem Świętych (gdzie stała Arka Przymierza), czy też w samem tem miejscu, w chwili, kiedy tam wejdzie arcykapłan? Do kogo należy ofiara, przeznaczona na całopalenie: do ołtarza, czy do kapłanów? Czy wolno w dzień sabatu zżąć snop zboża, który według Zakonu, powinien być ofiarowany Bogu, jako pierwszy dar wiosenny, nazajutrz po uroczystym dniu Paschy? Czy gwałci sabat, kto dnia tego zabije baranka wielkanocnego? Czy przepisane na dzień święta Namiotów zlewanie wodą (libacya) powinna się dopełniać na samem ołtarzu? Czy procesya z gałązkami wierzbowemi powinna się zatrzymywać przy ołtarzu? Czy dziesięcinę należy pobierać tylko ze zboża, oliwy i wina, Czy też także z oliwy, kminu i mięty? Czy ważne są przysięgi na niebo, ziemię, Jerozolimę, duszę, czy też tylko przysięga na Boga? Czy należy przysięgać na świątynię lub też jej złoto, czy na ołtarze, czy też na ofiarę, złożoną na ołtarzu?

Takimi oto marnemi drobiazgami zajmowali się doktorowie, a im który dalej się zapędzał w przesadzie, tęm chętniej był słuchany, tem stawał się słynniejszym, a najwięcej ten zyskiwał uznanie, kto potrafił schlebiać.

Faryzeusze w swoich zagłębianiach się w nic warte drobiazgi dochodzili do śmieszności. Słynnym był naprzykład, ich spór o to: czy

można w dzień sabatu, lub innego święta, jeść jajko, zniesione przez kurę w sabat? Jedni odpowiadali z całą stanowczością, że—nie można; inni pozwalali na to, ale zabraniali w dzień sabatu nauczać dzieci, pielęgnować chorych. Najważniejszą sprawą pobożną było, według faryzeuszów, utrzymanie czystości, lecz nie czystości serca, która tak miłą jest Bogu, której wymagali prorocy: ale czystości zewnętrznej, widocznej dla oka ludzkiego. Zagłębiali się też nad tem: czy prawowiernego czyni nieczystym jeśli dotknie się ciała zmarłego, czy też jeśli się dotknie skóry i kości zmarłego? czy ściągnie na siebie grzech nieczystości, dotykając się ksiąg pogańskich?

Słowem nierozsądne, śmieszne drobiazgi całkiem pochłaniały faryzeuszów. Ich nabożeństwo polegało na ofiarach, na ślubach, na modlitwach ściśle oznaczonych, częstych, długich, do odmawiania trudnych. Owe praktyki odbywali nietylko w świątyni, ale także publicznie, na ulicach, umyślnie rzucając się ludziom w oczy. Przed każdą ofiarą, nawet przed każdem czytaniem ksiąg Zakonu, licznych dokonywali obmyć. Również myli ręce przed każdem jedzeniem. Chleba, oliwy, wina z rąk pogan nie brali. Dwa razy w tygodniu, zwykle w poniedziałki i czwartki, zachowywali post ścisły, aż do zachodu słońca. Jałmużnę rozdawali w ten sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Wszystkie te przepisy samowolne, wymyślone przez siebie, faryzeusze gorliwie pomiędzy ludem starali się krzewić, nie troszcząc się wcale o umoralnienie go. Wymyślali nawet przepisy nad wyraz dzikie, że tylko wspomnimy opiewający: „Kto złoży ofiarę Bogu, ten się uwalnia od wspierania ubogich rodziców swoich.“ Lud, chociaż od owych przepisów się odwracał, jednak mając je wciąż przed oczyma, słuchając niedorzecznych sporów, głupiał, upadał na duchu, nikczemniał moralnie. Zobaczymy, że Jezus często faryzeuszom ich zaślepienie, ich obłudę, ich złość, ich wpływ opłakany na lud wyrzucał.

Słuszność jednak przyznać każe, że nawet pomiędzy faryzeuszami i ich stronnikami znajdowali się godni szacunku. Ewangelia wskazuje nam takie wyjątki, należeli do nich mianowicie: Nikodem, Józef z Arymatei, Gamaliel. Mężowie ci, pełni szlachetnej prostoty i szczerości, żywili w sercach głęboką wiarę i żarliwą miłość dla obietnic Bożych. Starszyzna i przełożeni ludu na radach nie dawali ucha ich mądrym przestrogom, nie mogli przeto mężowie rzeczeni wpływać na lud, jak tego pragnęli. To jednak nie zmniejsza tej ich zasługi, że wśród ogólnego zbłąkania umysłów, oni patrzyli zdrowo i poznali Prawdę Bożą, usłuchali wezwania Jezusa.

Lud, jak nadmieniliśmy wyżej, odwracał się od faryzeuszowych przepisów, lecz na samych faryzeuszów patrzył z podziwem. Faryzeu-

sze nie zważali na to; nie zważali również na drwiny saduceuszów. Chodzili nadęci pychą, która nawet w przysłowie weszła. Kto nie znał dokładnie Zakonu, nie przestrzegał wszelkich obrzędów, ten u nich nic nie znaczył. Z tego powodu pogardzali ludem, nazywali go grzesznikiem, obrzydliwością, bydlętami nieczystemi. Najwięcej zaś nienawidzili urzędników, gdyż ci mieli styczność z władzami rzymskiemi, więc z poganizmem. Celnicy, zbieracze podatków, rewidujący towary, ściągający opłaty drogowe i mostowe, skarbownicy, — na tych patrzeć nie mogli. Za to siebie samych wynosili nad wszystkich. Każdy z nich mówił o sobie:

— Spełniam wzorowo obowiązki, bo znam Zakon, trzymam się ściśle wszelkich przepisów, więc miano sprawiedliwego mi się należy.

Żydzi wówczas, ogółem biorąc, nie byli obojętni dla religii swojej, lecz zachowywali się względem niej ozięble. Mimo to, w dni świąteczne wszyscy dążyli do świątyni, aby uczestniczyć w obrzędach Zakonu. Nawet ci, którzy nie wzdragali się służyć rządowi rzymskiemu, jako urzędnicy, zapełniali w dni takie dziedziniec Narodów, inaczej dziedzińcem Pogan zwany, i chociaż z daleka, uczestniczyli jednak w ceremoniach zakonnych.

Oziębłości ogólnej dla religii nie podzielali jedni esseńczycy. Byli oni prawdziwie nabożnymi, tworzyli wśród społeczności żydowskiej rodzaj zakonu, gdyż usuwali się od świata, w życiu publicznem nie uczestniczyli. Dla esseńczyków prawo Mojżesza było wszystkiem, dla niego wyrzekali się życia światowego, poświęcali się rozmyślaniom, modlitwie, surowym praktykom nabożnym. Faryzeuszów nie uznawali, w synagodze, według nich, panowało zgorszenie. Ponieważ nie mogli poprawić świata, zrywali z nim. Łączyli się pomiędzy sobą, prowadzili życie spólne, w ubóstwie. Czas pewien nazywano ich *ebionim* (ubodzy), gdyż szczycili się tem, że nic nie posiadają; następnie, kiedy utworzyli prawdziwe zgromadzenie, nazwano ich esseńczykami, to jest — pobożnymi. Osiedli na wschodniem wybrzeżu morza Martwego, wśród palm, w miejscowości Erigaddi, tam zbudowali dla siebie istne klasztory. Dziwna to była sekta. Wierzyli w jakieś konieczne przeznaczenie, nie czuli obowiązku pracowania nad poprawą bliźnich, wszystko zdawali na Boga. Wierzyli nadto w nieśmiertelność duszy, oczekiwali szczęśliwości w życiu przyszłem. Nie przysięgali nigdy, prowadzili życie wstrzemięźliwe, czyste, milczące, umartwione, modlitewne. Sług nie znali, wszyscy uważali się za równych, za braci. Związków małżeńskich nie zawierali, natomiast wychowywali dzieci obce, jak własne. Główny ich obrządek polegał na częstych obmyciach i na codziennej kąpieli o wschodzie słońca. Uważali się za kapłanów, gdyż napisano jest o Żydach w Zakonie: „Jesteście lud kapłański.“ Dlatego też wstrzymywali się od wi-

na, bo napój ten zabroniony jest kapłanom, kiedy sprawują czynności swoje. Nie wchodzili do żadnego miasta, bo bramy miast przyozdobione były posągami; nie używali monet greckich ani rzymskich, bo Zakon broni używać wyobrażeń rzeźbionych i rytych. W Zakonie Mojżesza zamknęli się, niby w grobie. Byli raczej snującymi się po świecie cieniami, niż żyjącymi ludźmi. Tedy snuli się po wioskach, odwiedzali miejsca odludne, a istotnie sprawiali wrażenie jakichś istot nie ziemskich, w swoich tunikach białych, ociśniętych długim pasem, przy którym widniała siekierka. Faryzeusze gardzili nimi, drwili z nich, nazywali ich pobożnymi waryatami.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Boski porządek w dziele odkupienia. Nauka Ojców Kościoła. Duchowne macierzyństwo Maryi.

Bogarodzicę Maryę darzymy najsłodszem imieniem Matki, wszelkie uwielbienia i najżywsze uczucia tem się tłomaczą, iż uważając się za dzieci Maryi, przez Nią zbliżamy się do Boga i łaskę przez Jej pośrednictwo posiąść możemy. Posłuszeństwo nasze winno być rozumne — pobożność nasza powinna być oświeconą, każdy z wiernych obowiązany wiedzieć, że to, co czyni ma się zgadzać z zasadami wiary, być odbiciem wewnętrznego przekonania i świadectwem prawdy. Wzywamy Najświętszą Maryę Pannę, jako Matkę przedziwną — Matkę Odkupiciela i Matkę naszą — że to słusznie czynimy i zgodnie z Kościołem od samego jego początku, obszerniej wyjaśnić — o ile nam się zdaje, będzie rzeczą zajmującą i pożyteczną.

Chcąc mówić o stosunku, jaki istnieje pomiędzy wierzącymi chrześcijanami i Najświętszą Maryą Panną, musimy trzymać się objawionej prawdy — tradycyi apostolskiej i nauczycieli Kościoła. Z dzieł Bożych widzimy, jaką jest wszechmocność Stwórcy: — ład, harmonia, w świecie ręką Jego uczynionym, poucza nas o Boskiej mądrości, a iż nam dał Syna Swego jednorodzonego za Zbawcę i Nauczyciela — miłość to sprawiła.

I znowu rozpatrując się w sposobie i wszystkich okolicznościach, odnoszących się do naszego odkupienia — widzimy, iż Bóg — dając nam Syna Jednorodzonego i przyjmując Jego ofiarę za okup naszych grzechów, chciał, aby człowiek tą samą drogą odzyskiwał stracone dobro, jaką szedł do zguby, żeby to samo służyło, ku jego wyzwoleniu — co go miało bronić przed niedolą, w jaką popadł.

Bóg stworzył nas bez nas, ale nas nie zbawi bez nas i na tem opiera się boski porządek Odkupienia.

Skoro to zachowamy w pamięci — zrozumiemy wszystko, co się odnosi do macierzyństwa duchownego Najświętszej Maryi Panny.

Jeżeli leżało w zamiarach Bożych, że to, co się spiknęło na naszą zgubę — powinno współpracować w naprawie ku odrodzeniu, a wiemy, że obojaka płeć uczestniczyła w zepsowaniu naszej natury — wypadało, iżby się także przyłożyła do jej zleczenia. I tak, jak rodzaj ludzki przez mężczyznę i niewiastę skazany został na wieczne potępienie — wypadało, aby Bóg powołał nową Ewę tak samo, jak wzbudził nowego Adama — iżby zamiast wyklętego pokolenia, nowe uświęcone przez łaskę zaludniło ziemię.

I w rzeczy samej, jak to zobaczymy potem, wniosek ten nabrał siły i zasadniczej rozciągłości, tak na wschodzie, jak i na zachodzie.

Święty Piotr Chryzolog we wstępie nauki, na dzień Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, tak przemawia: „Przyszliście usłyszeć Anioła, umawiającego się z niewiastą w sprawie odkupienia człowieka i widzicie, że tu chodzi o przywrócenie mu życia, tymże sposobem, jaki przyprawił go o śmierć duchową.“ *) Później nieco, żyjący Bazyli z Seleucyi — temiż odzywa się słowy: „Jedyny Syn Boży, środkami wprost przeciwnemi zleczył rodzaj ludzki.“ **) Euzebiusz Aleksandryjski z końca VI wieku pisze: „Tą samą bronią, którą zły duch pierwszych ludzi zranił, pokonał spawcę złego “ ***)

Znaną jest wszystkim Prefacya, którą powtarza Kościół w dniach Męki Pańskiej: „Sprawiedliwą, słuszną i zbawienną rzeczą, ażebyśmy Tobie zawsze i wszędzie dzięki czynili, Panie Święty, Ojcze Wszechmocny, Wieczny Boże, któryś zbawienie rodzaju ludzkiego na drzewie krzyża postanowił, ażeby, zkąd śmierć początek wzięła, ztamtąd i życie zmartwychwstało, i aby ten który przez drzewo zwyciężył, przez drzewo był pokonany.

W hymnie *Pange lingua*, śpiewamy między innemi te słowa: „Stwórca w Swej dobroci dla człowieka, który uwiedzion od dyabła, jadł owoc z drzewa zakazanego, wskazał drzewo, jako lekarstwo i chciał, żeby uzdrowienie z niego wzięło swój początek.“

Oto porządek przez Opatrzność wskazany.

Żeby Najświętszej Maryi Pannie przyznać rolę nowej Ewy, obok nowego Adama, mamy wiele wyraźnych wskazówek. — Głosy Ojców

---

*) Audistis agi ut homo cursibus iisdem quibus dilapsus fuerat in mortem, rediret ad vitam, sermo 140.

**) Basili Sel. orat. 3.

***) Eus. Alex. P. G. 86.

Świętych tak są poważne, iż można je uważać za odgłos objawionej prawdy, jako płynące ze źródła nauki apostolskiej.

Przytoczymy w tem miejscu trzy świadectwa: Świętego Justyna, który żył na wschodzie, Tertuliana, pisarza Zachodniego Kościoła — wreszcie Świętego Ireneusza, który należy do szkoły Świętego Jana w Azyi Mniejszej, a męczeństwem swem uświetnił Kościół założony w Galii.

Wiemy — pisze Święty Justyn, że przed wszem stworzeniem, Słowo rodzi się z Ojca Przedwiecnego... że z Dziewicy staje się ciałem — ażeby nieposłuszeństwo przez węża wywołane, w tenże sposób ustąpiło, jak się zaczęło. Ewa niewinna, wolna od skazy usłuchała węża i sprowadziła śmierć. Marya z wiarą i weselem przyjmuje poselstwo Anioła i wiadomość, że Duch Święty zstąpi, a moc najwyższa sprawi, iż pocznie i porodzi Zbawiciela. Odpowiedziała, niech się tak stanie. I narodził się z Maryi Ten, który starł glowę węża i wyswobodził wszystkie, które weń uwierzyli i czynili pokutę." *)

Tertulian tak zaś pisze: „Bóg w sposób współzawodniczący odzyskał swój obraz i podobieństwo, którym był zawładnął szatan. W Ewie utkwiła mowa, i stała się śmierci przyczyną — Słowo zstąpiło w łono Dziewicy — budzące do życia, żeby ludzkość zgubiona przez płeć niewieścią, przez nią też otrzymała zbawienie.

Ewa zawierzyła wężowi, Marya przyjęła słowa Gabryela, błąd popełniony przez łatwowierność pierwszej, naprawiony został przez wiarę drugiej." **)

Wreszcie przytoczymy świadectwo Świętego Ireneusza: „Jakaż wyraźna zgodność okoliczności! Marya z całem posłuszeństwem mówi: otom ja służebnica Pańska — niech mi się stanie według słowa twego. Ewa przeciwnie, postępuje wbrew woli samego Boga — gubiąc siebie, sprowadza przekleństwo na cały swój rodzaj. Marya staje się błogosławioną między niewiastami...

Chrystus Pan powiedział: „pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi" i dlatego to Święty Łukasz rozpoczyna wyliczenie pokoleń od Pana Jezusa, chcąc pokazać, że choć podług ciała wywodzi się od Abrahama i Adama, wszystkich jednak odradza przez Ewangelię, podobnie Marya kruszy więzy nałożone nieposłuszeństwem Ewy." I dalej: „Ewa zwiedziona głosem Anioła upadłego kryje się przed Bogiem. Marya, stając się posłuszną zwiastowaniu Anielskiemu — otrzymuje pełność łaski. Pierwsza buntuje się przeciw Bogu, druga — słucha natchnienia Boskiego i naprawia winę Ewy. Tak więc, jako przez niewiastę przy-

---

*) S. Justin Dial. cum Tryph. VI.

**) Tert. de carue Christi c. 17.

szła śmierć, przez niewiastę bierzemy i życie — posłuszeństwo jednej, zrównoważyło nieposłuszeństwo drugiej.“ *)

Potrzeba, żeby te swiadectwa wypływały z nauczania apostolskiego. Z całą pewnością możemy zawierzyć osobistościom wyżej wymienionym — spisywali to, co za ich czasów i w miejscach, gdzie przebywali wierzono i odczuwano. Nadto sama zgodność pojęć i podobieństwo przeciwstawień, pokazuje, iż takowe nie były ich wymysłem ani też wypływem osobistych ich dociekań. Jeżeli nauczanie to przejęli od drugich, — pytamy od kogo? źródło jedno i wspólne dla wszystkich trzech. Czy nie możnaby dla tego rodzaju podania, wynaleźć wcześniejszego pochodzenia, niż apostolskie? — Z pewnością — nie. W pierwszej połowie trzeciego wieku tak uczono w Afryce, z Tertulianem w Rzymie; przy końcu drugiego wieku w Palestynie, w Azyi z Justynem; a w Galii ze Świętym Ireneuszem. Zkądże to przyszło, jeżeli nie od Apostołów. Wiedzieć także mamy, że Święty Jan Apostoł na lat 30 albo 40 umarł przed nawróceniem się Świętego Justyna i narodzeniem Tertuliana — Święty zaś Ireneusz był uczniem Świętego Polikarpa i od niego, jak mówią z pierwszej ręki naukę tę otrzymał.

* * *

Żeby można było powątpiewać o słuszności powyższego wywodu, należałoby wskazać uczących inaczej, albo stawić wprost przeciwne świadectwa. Tymczasem Kościół nietylko nie odrzucił — ale słowem pisanem i ustnem przez swoich doktorów i w następnych wiekach rzecz tę w podobny sposób tłomaczył.

W czwartym wieku zabierają głos: Święty Cyryl w Jerozolimie, Święty Efrem w Syryi, Święty Epifaniusz w Egipcie i Palestynie, Święty Jan Złotousty w Antyochii i Konstantynopolu.

„Jako śmierć, pisze Święty Cyryl, przyszła przez Ewę jeszcze dziewicę, tak i przez dziewicę wrócił żywot; — pierwszą zwiódł wąż czyli zły anioł — drugiej także Anioł Gabryel zwiastował dobrą nowinę. **) „Na początku, wskutek grzechu pierwszych rodziców, śmierć przyszła na wszystkich ludzi, dziś przez Maryę odzyskujemy życie. Na początku — wąż opanował słuchem Ewy i przez ucho trucizna objęła całe ciało. Dziś Marya posłuchem swoim, posiadła tego, który nam daje wieczną szczęśliwość, a co było narzędziem śmierci, stało się narzędziem życia.“ ***) Podobnie przemawia Święty Efrem, nie ograniczając się na

*) Cf. Eus. His. Kos. Ks. 5 r. 20 k.
**) S. Cyr. lier. (315) 4 Cater. XII.
***) S. Eph. Serm. 3 de Diversis.

zestawieniu dwóch postaci Ewy i Maryi — tę ostatnią nazywa *„Nową Ewą — Matką żywota* (*nova Eva, Mater vitae nuncupata*)*“*. Święty Epifaniusz tak znowu pisze: „Ewa była figurą Maryi czyli Matką żyjących, co też znaczyło imię Ewa; kiedy zgrzeszyła, usłyszała: z ziemi jesteś i do ziemi powrócisz. *) I w rzeczy samej Ewa była matką rodzaju ludzkiego, Marya ponieważ stała się matką Syna Bożego, który o sobie powiedział jam jest życie — i to życie dawa wszystkim — z tego tytułu jest prawdziwie matką żyjących...

„Jeszcze jeden szczegół do nadmienienia odnośnie do tych dwóch niewiast, mówię o Ewie i Maryi. Ewa stała się przyczyną śmierci, — Marya jest początkiem odrodzenia na inne życie. Syn Boży zstąpił na ziemię, żeby, gdzie obfitowało przestępstwo, łaska więcej obfitowała, czyli, żeby śmierć spowodowana przez niewiastę, zwyciężoną była przez urodzonego z niewiasty. **)

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



*) Pseudo Athen. Ser. de Ann. Deip. n. 14.

**) Epiph. adv. Haeres. Haer. 78 n. 18.
do Rzym 12.

Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Z przytoczonych nieco wyżej uwag wiemy, iż ów Weyhard Wrzeszczewicz był rodem Czech, a wyznaniem katolik. Już od pewnego czasu w Polsce przemieszkiwał, gdzie mu się wcale dobrze działo. Przed trzema laty, w r. 1652, sejm Rzeczypospolitej wydzierżawił mu słynne żupy solne w Wieliczce, pod Krakowem, z czego mógł sobie znaczną zbić fortunę. Lecz człowiek był lekki, marnotrawca, więc złotego jabłka uszanować nie umiał, dzierżawy nie opłacał, tedy mu ją odebrać musiano. Stąd gniew na Polskę i Polaków, szukanie zemsty. Okazya mu się niebawem zdarzyła. Wkroczył Szwed w granice Rzeczypospolitej, on też zaraz ku niemu pomknął i służby swoje ofiarował, a te wdzięcznie przyjęte zostały, bo Weyhard ludzi i kraj znał doskonale, mógł przeto pożądanych w każdym razie udzielać wskazówek. Dano mu też dowództwo znaczne, a on łasił się i przymilał najezdnikowi, mniemając, że tą drogą zajdzie wysoko.

Bardzo być może, że się sam do Częstochowy rwał, gdyż parły go tam chciwość i ambicya. Dopierożby uczynił się wielkim, w oczach króla szwedzkiego, gdyby mu się udało Jasną-Górę zająć, w dodatku obłowiłby się porządnie. A był przekonany, że mu się to uda, bo

przecież do niedawna opowiadał się za najszczerszego czciciela Najświętszej Panny, Jasną-Górę odwiedzał, na kościół ofiary składał, również klasztorowi dobrodziejstwa świadczył.

— Dobroduszne mnichy uwierzą — tak sobie myślał Weyhard — gdy ich zapewnię, że przyjaźń i życzliwość dla nich, że troska o bezpieczeństwo i honor miejsca świętego, do zajęcia twierdzy klasztornej mnie skłaniają. Uwierzą mi, bramy otworzą, a potem dam sobie z nimi radę. Palma zwycięzcy w oczach króla zostanie przy mnie, przy mnie też zostanie większa cześć skarbów, bo wszakże Szwedom nie godzi się dać jądra, skoro sam orzech zgryzę.

Tryumfował zawczasu przewrotny i bezecny człowiek, ale zawód go spotkał srogi.

Rojąc w duchu najświetniejsze nadzieje, dnia 8 listopada wyruszył z Wielunia, gdzie kwaterował i cichaczem ku klasztorowi jasnogórskiemu pomknął. Stanął pod murami twierdzy około godziny dziesiątej wieczorem i niezwykłym odgłosem trąb zbudził ze snu sługi Boże. Niezwłocznie też pchnął do klasztoru posłów, ci zaś jego imieniem oświadczyli zakonnikom, aby, skoro już wszystka Rzeczpospolita uznała króla szwedzkiego i oni klasztor pod władzę tegoż monarchy oddali. W razie przeciwnym groził, Weyhard klasztorowi ostatecznie zagładą, której miała dokonać czterotysiączna jego armia. Nietylko klasztor, ale wszystkie posiadłości onego obiecał z dymem puścić. Zakonnicy jednak nie przerazili się groźbą. Przeor Kordecki odpowiedział, iż następującym zbrojno, do tego w nocy, bram klasztoru nie otworzy. Wówczas Weyhard, aczkolwiek wściekał się w duszy, gdyż mniemał, że ów wrzask surm wojennych, pogróżki i widok tak znacznej siły orężnej odrazu go do celu upragnionego doprowadzą, a tu zawód go spotkał, — powiedział sobie: „pierwsze koty za płoty“, postanowił chwycić się judaszowej polityki i traktowanie z zakonnikami do dnia następnego odłożył.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, udali się do Weyharda, który się był w nowicyacie, przy kościele Ś-ej Barbary, kwaterą roztasował, dwaj posłowie z klasztoru: Brat Benedykt Jaraczewski i Brat Marcelin Tomicki. Obydwaj wytrawni, mężni, pokorni, cierpliwi. Pierwszy biegle mówił kilkoma językami; drugi łacinnik, niezwykle bystrego umysłu, niedającego się zachwiać przekonywaniem ani strachem.

Gdy stanęli przed Weyhardem, ten nie wiedział z początku — jak sobie postąpić: czy zrazu gniewać się i rzucać; czy też traktować chytrze a łagodnie. Niepewność jednak szybko minęła, ułożył twarz surową i ledwie, kłaniającym się z godnością zakonnikom głową kiwnąć raczył. Zaś Brat Benedykt temi ozwał się słowy:

— Nie możemy wyjść z podziwu, jaśnie wielmożny panie i oczom własnym nie dowierzamy, widząc cię tutaj i przekonywując się, że cie-

bie a nie kogo innego oglądamy sprawcą napaści nocnej. Mieliśmy prawo widzieć w tobie, panie, opiekuna, obrońcę, czciciela Tej Matki Bożej obrazu, do którego przybywałeś niedawno jeszcze z modlitwą, we wcale inszej postaci. Godziłoż się nocą najeżdżać to miejsce, szturmować do bram przybytku, wrzawą usiłować nas zastraszyć i pod obrazem cudownym sprośne krzyki żołdactwa rozpuszczać?

— Co się stało, stało się -- przerwał Weyhard — i nie sądzę, abym za to sumieniem odpowiadał. Uczyniłem to dla własnego waszego dobra. Nie ukrywam, że muszę i chcę zająć Jasną-Górę. Czy nie wiecie, co się dzieje i co was otacza? Poddać się musicie koniecznie, nastąpi dziś lub jutro, bo taka wola najjaśniejszego króla jegomości szwedzkiego. Jako protektor klasztoru, jako przyjaciel wasz, zabiegam, byście w gorsze nie popadli ręce. Śpieszyłem tu dla waszego dobra tylko.

— Ale my wcale nie widzimy musu poddania się komukolwiek— rzekł Brat Jaraczewski.—Mnichami jesteśmy, modlimy się, Boga chwalimy, pilnujemy miejsca, które nam powierzone zostało. Błagamy cię, panie i na wiarę katolicką zaklinamy, pozwól nam wypełniać obowiązki powołania bez przeszkody.

Na to Weyhard łagodnie:

— Nie tajno wam, Ojcowie, żem zawsze miał cześć dla miejsca świętego; żem was i zakon wasz miłował szczególnie; żem was wspomagał i wspierał, o czem nie wspominałbym, gdyby nie dzisiejszy zbieg okoliczności, który mnie do tego, dla opamiętania waszego, zmusza. Bądźcie pewni, że nowy zwrot rzeczy dawnego przyjaciela waszego nie odmienił. Zjawiam się, prawda, w postaci wroga, ale istotnie jako przyjaciel i obrońca. Nie lękajcie się, zaufajcie mi, zdajcie niezwłocznie klasztor. Czasy dzisiejsze, obrót, jaki rzeczy wzięły w całej Polsce, radzą wam to dla spokoju o bezpieczeństwa waszego. Zaręczam wam za całość wszystkiego, niczego od was nie żądam, owszem, sam jeszcze was wspomódz będę się starał.

— Dziękujemy za tę obietnicę, jaśnie wielmożny panie—rzekł Brat Benedykt — ale my pono lepiej, z natchnienia Bożego, widzimy, co czynić wypada...

— Więc chcecie zginąć? Uważcie, iż za mną idzie sroższa burza— jenerał-leytenant Miller tu dąży, nie prosić was, ale opanować siłą zamek. A wiecie jak po zdobyciu dokazuje żołnierz rozjuszony, zwłaszcza heretyk... Ani siebie, ani klasztoru, ani obrazu nawet nie będziecie mogli ocalić, jeśli rady mojej nie usłuchacie. Przypominam, że Miller to heretyk, srogość jego znana. Tem twardsze będą jego żądania, ponieważ wrogiem jest religii katolickiej. Jeżeli dopuścicie, że on będzie

miał z wami do czynienia, wówczas za późno żałować będziecie, z bolem duszy i ciała, żeście przyjacielską radą wzgardzili.

— Na Boga i na wiarę świętą katolicką, którą sam wyznawasz, zaklinamy cię jaśnie wielmożny grafie — próbował jeszcze Brat Tomicki — zostaw nas w spokoju, nie zmieniaj dawnej swojej dla klasztoru łaskawości.

— To są jeno puste słowa — rzucił się Weyhard — a takich słuchać nie będę. Idźcie, odnieście przeorowi radę moją, powtórzcie mu, co powiedziałem i wracajcie z pomyślną odpowiedzią. Ręczę za całość wszystkiego: ani włos z głowy spadnie nikomu, ani jedna słomka z zapasów waszych zginie. Inaczej wiecie, co was czeka.

Niecierpliwie oczekiwano w klasztorze powrotu Braci. Przeor zebrał w definitarzu wszystkich zakonników i szlachtę, która się była, w liczbie pięćdzesięciu rodzin, do klasztoru przed Szwedem schroniła, tam tedy dążyli Bracia, aby relacyę z poselstwa złożyć.

Trza nadmienić, że pomiędzy szlachtą znajdowali się żołnierze wyćwiczeni, otrzaskani w obozach, a przytem roztropni i wielkiego serca. Do takich należeli: Zamoyski, miecznik sieradzki, Piotr Czarniecki, Zygmunt Mosiński, Mikołaj Nowina Krzyżtoporski z Bogdanowa i Jan Opończyk Skórzewski. O dwóch pierwszych musimy słów kilkoro powiedzieć, gdyż w oblężeniu Jasnej-Góry wybitną odegrali rolę.

Więc pan Stefan Zamoyski, miecznik sieradzki, (przybył na Jasną Górę z małżonką i synem, również Stefanem) nie należał, jakby z nazwiska sądzić można, do słynnej rodziny Zamoyskich, już podówczas ze szlachty do magnatów przechodzącej, do onych Jelitczyków, potomków Floryana Szarego, których wielki Jan Zamoyski, kanclerz i wielki hetman koronny, wwiódł za sobą na senatorskie krzesła, między familie dawniej pańskie, chociaż nietyle zasłużone, co jego. Pan miecznik sieradzki pieczętował się herbem Poraj i mieszkał w dobrach dziedzicznych Strzelczu. Dygnitarzy přesławnych pomiędzy przodkami nie liczył. Był całą gębą szlachcicem tylko, chociaż fortuna piękna, imię uczciwe i pokrewieństwa mogły go wynieść do dostojeństw. On jednak nie piął się na pańską drabinę, — wolał być dobrym szlachcicem niż ladajakim półpankiem.

Człowiek ten w swoim wieku za wzór szlachcica mógł uchodzić. Jakby się urodził do konia i szabli, tak mu łatwo przychodziło wszystko, co trąciło rycerstwem; tak od młodu, sam przez się, rwał się do kunsztu wojackiego. Nie było konia, któregoby nie dosiadł, nie było szablicy, którą nie potrafiłby machać sprawnie, nie było zbroi, którąby mu na barkach zaciężyła. Służył w wojsku i wyszedł z niego nietylko żołnierzem, ale i wytrawnym dowódcą. Gdy zdjął zbroję — rolnik był z niego i gospodarz wyśmienity, lecz nie, jak inni, którzy w gospodarstwie

grosz jeno widzieli, ale z potrzeby pracy, z zamiłowania wioski i roli, wreszcie—z obowiązku. Lud miłował i był wzajem przez niego miłowany, jak ojciec. A chociaż trzymał czeladkę w ryzie, każdy mu oddawał sprawiedliwość, że nigdy nikogo nawet pośpiesznem słowem bez słuszności nie zgromił.

Prawo narodowe znał na palcach. Wprawdzie nie cierpiał pieniactwa, święta zgoda nad wszystko mu była miłą; ale czuł to, że jako obywatel kraju, prawa jego znać powinien. W życiu codziennem, acz poważny i umiejący okazać, że cenił godność swoją, był jednak przyjacielski i miły tak, że bracia-szlachta sieradzanie posiekaćby się za niego dali. Był wymowny i chętnie, może nieco do zbytku, prawił oracye, byle sposobność po temu się zdarzyła. Wymowa jego była potoczysta, wyszukana, najeżona przypomnieniami, to też jej gwoli spisywał w swojej księdze wszystko, co tylko piękniejszego w tym rodzaju znalazł. W oracyach był niewyczerpany — byle chrzciny, oddawanie marcepanów weselnych, przyjmowanie panny młodej, zamiana pierścieni, — dobijano się o niego.

O zacności jego charakteru daje świadectwo zdarzenie następujące: Będąc w r. 1652 posłem z ziemi sieradzkiej na sejm, gorliwie bronił Radziejowskiego, odsądzonego od podkanclerstwa, gdyż oburzyła go surowość i stronność wyroku marszałkowskiego. Wówczas samemu królowi Janowi Kazimierzowi gorzką prawdę do oczu ciskał. Ale kiedy przyszło do obrony kraju i króla; kiedy niegodziwość Radziejowskiego jawnie się okazała: zapomniał dawnych stosunków i uraz, a zasłaniał piersią własną Jasną-Górę. Tylko serce niepokalane zdobędzie się na coś podobnego.

Postać malowała człowieka, więc pan miecznik sieradzki był ogromny, pleczysty, barczysty, silny, jak tur, z włosem czarnym, z wąsem potężnym, podkręconym ku górze, płeć miał białą i rumianą, oko pełne a ogniste, czoło wysoko podgolone. Głowę nosił do góry, chętnie ręką w bok się podpierał, a kiedy kroczył, to z taką powagą, z taką razem grzecznością i przymileniem, że znajomi i nieznajomi witali go czapką i uśmiechem, od spojrzenia dobrze się dla niego usposabiając. Lubił się pięknie ubrać, nikt nad niego w okolicy nie nosił wykwintniejszych kontuszów, taratelek, węgierek lamowanych, bramowanych, guzami i pętlicami strojnych; nikt piękniejszych nie miał czapek, szabel i siedzeń na konie, i rzędów, i zbroic. Bodaj sam jeden był w domu, zawsześ go zastał czysto i starannie ubranym, a kiedy w pole lub na polowanie (był i myśliwy dobry) na bułanym jechał stępaku, to chociaż rząd był z rzemienia, ale węgierski, misterny, że miło na niego popatrzeć. Słowem — i do korda, i do różańca, i do tańca, i do roli, i do prawa, i do szabli, i do księgi — nic mu nie było obce. Do

wszystkiego był gotów, mawiał, że w naszym kraju szlachcic takim być musi, bo będąc dla kraju wszystkiem, we wszystkiem sam sobie starczyć powinien.

Takim był pan miecznik sieradzki.

Co do pana Piotra Czarnieckiego — ten był bratem znamienitego wodza Stefana, w danej chwili do godności kasztelana kijowskiego wyniesionego. Toż samo męstwo, jedna wytrwałość, jedna prostota u obu. Ze szlachtą i prostym ludem łagodny a miękki, serdeczny brat i ojciec; z panami nieco opryskliwy i trocha dumny, wysoko głowę podnoszący. Zresztą, przedewszystkiem żołnierz, chętnie czyniący ofiarę z mienia i krwi własnej, Wesoły, zwłaszcza w boju, lubiący pracę, w spoczynku łatwo się nudził. Pobożny duszą, ludzki, towarzyski i braterski, nawet z twarzy nieco miał podobieństwa do brata, kasztelana kijowskiego, jeno zawczasu ołysiał a brodę podgalał. Strojem jego — szaraczkowy kontusz, buraczkowy żupan z wyszarzanej jedwabnicy, szabla stara i doświadczona na rzemiennym pasku, klamrą spiętym, na głowie czapeczka ze skóry, drutem przeszywana gęsto, jakiej pod hełm używano, tak, że tylko na nią wdziać żelazo, pancerz opiąć i gotów do boju.

Musimy też przy sposobności sprostować niedokładność, jaką dostrzegliśmy względem pana Piotra Czarnieckiego w słynnej powieści „Potop.“ znakomity autor utrzymuje, iż Piotr był siostrzanem Stefana, kasztelana kijowskiego i przedstawia go, jako: „młodego kawalera, o groźnej, marsowej twarzy, podobnego do dębu ze wzrostu i siły.“ Tymczasem źródła dziejowe stanowczo twierdzą, że był on rodzonym bratem Stefana i starszym od Stefana, więc liczył przeszło 56 lat; Stefan bowiem, urodzony w r. 1599, więc w chwili oblężenia, to jest r. 1655, lat 56 liczył. Na dowód przytaczamy Niesieckiego, który pisząc o Czarnieckich, herbu Łodzia, nadmienia:

„Krzysztof, starosta żywiecki, dworzanin króla Zygmunta III. Mąż to był rycerski, w wielu wyprawach doświadczony, wszystkim miły, ale najbardziej Bogu, dla którego ojcowskiej się wyrzekł herezyi, już w siedmdziesiątym roku życia swego, a we dwie lecie potem, to jest r. 1636, zasnął w Panu i w kościele kaliskim Ojców Jezuitów pochowany, nagrobkiem marmurowym uczczony. Dwa razy ponawiał śluby małżeńskie: raz z Krystyną Rzeszowską; drugi raz z Brzostowską herbu Bończa. Z pierwszej doczekał się dziesięciu synów i córki Katarzyny, która wyszła za Masłowskiego, potem była za Janem Piekarskim, podsędkiem, a potem jeszcze za Janem Gembartem. Z synów Piotr pierwszy, męstwo jego Nieszporkowicz i Kochowski sławią, kiedy podczas oblężenia częstochowskiej fortecy od Szwedów, z celniejszą piechotą, w nocy,

do najbliższych nieprzyjacielskich wypadł szańców; tam część piechoty na sposobnem miejscu zasadziwszy, którzyby uciekających (Szwedów) siekli, sam pierwszy na szańce wbiegłszy i serca drugim dodawszy, tyle, to przestrachem w niespodzianym razie, to odwagą sprawił, że Szwedy pierzchać co żywo poczęli, ale i z tyłu od nacierających, i z przodu od zasadzonych zaskoczeni, trupem i mostem legli. A wódz Czarniecki zwycięstwo, i sławę do fortecy odniósł. Żona jego Misiowska."

Drugim z kolei synem Krzysztofa Czarnieckiego był Wojciech, pisarz grodzki chęciński; trzecim Paweł, rycerz sławny w kraju i obcych ziemiach; czwartym Stanisław, dworzanin królewski, który służył wojenno cesarzowi Ferdynandowi; piątym Tomasz, kanonik krakowski i włocławski; szóstym dopiero Stefan „znamienity na cały świat wojownik, odwagi i rycerstwa polskiego korona". Piotr zatem był rodzonym bratem Stefana i w chwili oblężenia Jasnej-Góry miał z górą lat sześćdziesiąt.

Otóż Piotr Czarniecki i Stefan Zamoyski znajdowali się także w definitarzu i słuchali, wraz z inną szlachtą i zakonnikami, relacyi Braci, którzy od Weyharda wrócili. Sprawiła ta relacya wrażenie. Kordecki tak o tem pisze: „Niemało poruszyła zakonników świeża pamięć dobrodziejstw hrabiego i obietnica przychylności na przyszłość; jednak podstąpienie w tak znacznej liczbie dnia wczorajszego pod mury, mocno niepokojąc umysły, nie pozwoliło stosować się do jego rady i utrzymało niezachwiane postanowienie bronienia klasztoru. Jednozgodnie tedy uznali Ojcowie, że od wroga wszystkiego lękać się należy."

Przeor wszakże nie poprzestał na zdaniu zakonników. Zwrócił się do szlachty.

— Gdyby o nas tylko szło — rzekł — odpowiedziałbym hrabiemu jeszcze pokorną prośbą i stałą odmową, ale tu i o waszmość panów także chodzi. A więc radźcie.

— Co tu radzić! — wykrzyknął Czarniecki — nie wpuszczać Szweda i basta! Obiecywać mu łatwo, bo czegóż nie przyrzekał już i czego nie ofiaruje? Ale u niego zawsze zdrada pod jedwabnemi słowy. Pięknie śpiewa Weyhard, a czemu wczoraj tak niepięknie wpadł i podstępem chciał ubiedz miejsce święte, z hałasem, wrzawą, jakby gospodę nachodził? Co tu radzić, co tu długo myśleć? Myśmy nie więcej warci od was, ojcowie kochani, a prochem jesteśmy w obliczu Świętej Matki, Opiekunki naszej. Zatem, co Bóg do serca księdzu przeorowi podda, to niech przeor czyni, my zgodzimy się na to ochotnie.

Pan Stefan Zamoyski dodał:

— O waszą tu najgłówniej sprawę idzie, Ojcowie czcigodni. Porównawszy zatem potęgę nieprzyjaciela, z możnością stanowienia jej oporu z waszej strony, według sił i środków obrony, stanówcie za wła-

sną wolą. My, jako goście, z trudnością możemy udzielić wam rady światłej. Atoli ponieważ przez was zapytani zostaliśmy, odpowiadamy: dopóki konieczność nie nagli, daleką niech będzie od nas myśl poddania się, haniebną bowiem i niegodziwą jest rzeczą przez sromotne uleganie szukać u wiarołomnego nieprzyjaciela niepewnego pokoju. Schroniliśmy się tu z własnej woli i z miłości ku świętemu miejscu, z żonami i dziećmi najdroższemi, oddając się w opiekę Najświętszej Bogarodzicy; z niezachwianą zatem wiarą postanowiliśmy żyć z wami, wielebni Ojcowie, i z wami raczej umierać, jeżeli tak Bóg zechce, niż przyjąć jaki warunek nikczemnej niewoli lub patrzeć na zniewagę świętości. Zapewne ta Matka Najwyższego Boga, która nas natchnęła szlachetnem pragnieniem bronić Jej czci, przeciwko bezbożnym bluźnierstwom heretyków, przybędzie w pomoc pobożnym usiłowaniom sług Swoich i sprawę słusznej obrony wesprze.

— Dzięki Bogu! — zawołał przeor. — Wierzymy w pomoc Bożą, wiara nas zbawi. Wierząc w opiekę Opatrzności, wymodlimy ją sobie. Tylko słabi na duchu giną i modlitwa ich, trwogi pełna, ziemską bojaźnią przesiąkła, nie dochodzi do Boga, lecz jako mgła roztacza się po ziemi. Wierzcie, a ujrzycie. Niech serca wasze biją ku Bogu, a Bóg usłyszy ich bicie. A zatem — niema co dłużej myśleć i naradzać się. Nieście, kochani Bracia, odpowiedź hrabiemu, w tych co i przed tem słowach.

— Ale z tym ptaszkiem nie można jednem się kontentować — zauważył pan Moszyński — trzeba mu coś nowego zaśpiewać, zwłóczyć, odkładać. Czy nie byłoby dobrze, naprzykład, powiedzieć mu, że gdybyś wasza przewielebność nawet chciał co stanowczego uczynić, musisz się wprzód, stanowiąc o losie klasztoru, zapytać księdza prowincyała.

— Słusznieś waszmość powiedział — nadmienił pan Zamoyski. — Ojciec prowincyał Bronowski na Śląsku, w Głogowie; zanim się porozumiemy, zwłoka konieczna, zyskamy więc na czasie.

— To i dobrze — potaknął przeor — przeciw takiemu nieprzyjacielowi, wszelkiej broni godziwej używać trzeba. Powiedzcież — dodał, zwracając się ku posłom — niech hrabia z przyjaciela nie czyni się wrogiem, a resztę złóżcie na prowincyała. Chwała Bogu, że daleko jest, za granicami. Zresztą, Bóg was natchnie, co macie mówić.

Pobłogosławił posłów, oni zaś niezwłocznie udali się do Weyharda, który z daleka już wołał:

— Cóż przynosicie? Zdajecie się, czy nie?

— Nie możemy o tem stanowić sami — odparł Brat Tomicki — musimy udać się do prowincyała, który w Głogowie jest, na Śląsku.

Zmarszczył się Weyhard.

— Wasze ustawy mnie nie obowiązują — rzekł cierpko, a rzucając posłom pismo, dodał: — Macie do wyboru — albo zaraz się zgodzić na spisane tu warunki, albo ogniem i mieczem spustoszym naprzód włości i sioła wasze, a potem sam klasztor zburzym. To moja ostatnia odpowiedź. Daję wam godzinę do namysłu.

Wracają posłowie, skarżą się, że daremnie usiłowali zmiękczyć dzikie serce Weyharda i oddają pismo, wręczone przez niego, którego osnowa była taka:

„Dziś, dnia 9 listopada, stanęła umowa pomiędzy Jaśnie Wielmożnym Janem Weyhardem, hrabią Wrzeszczewiczem, z postanowienia Jego Królewskiej Mości, króla szwedzkiego, najwyższym naczelnikiem wyprawy, oraz pułkownikiem chorągwi konnej i pieszej, w imieniu tegoż najjaśniejszego i najpotężniejszego księcia i pana, Karola Gustawa, a wielce czcigodnymi: przeorem, podprzeorzym i całem zgromadzeniem jasnogórskiem częstochowskiem. Umowę tę przyrzeczono obustronnie, we wszystkich jej warunkach i punktach, święcie, sumiennie i niewzruszenie zachować. Punkta zaś umowy są:

1. — Jasna-Góra poddaje się na słowo hrabiego, razem z klasztorem, warowniami i twierdzami, Jego Królewskiej Mości Karolowi Gustawowi i temuż monarsze, jako obrońcy swemu najłaskawszemu, cześć oddaje.

2. — Wszyscy zakonnicy, ilu ich jest, od pierwszego do ostatniego, słowem kapłańskiem i zakonnem przysięgają i obiecują Jego Królewskiej Mości, Karolowi Gustawowi, wierność, uszanowanie i posłuszeństwo; również zrzekają się wszelkich związków, spisków, układów i umów z królem Janem Kazimierzem i jego stronnikami.

3. — Zgromadzenie przyjmuje na gubernatora warowni i załogi hrabiego Wrzeszczewicza, któremu, jako też jego podwładnym, wyższych i niższych stopni, przyrzeka wszelką wierność, uczciwe porozumienie się, uszanowanie, a w szczególności posłuszeństwo, w sprawach dotyczących wojny.

4. — Zakonnicy przyjmą załogę, złożoną ze stałej liczby żołnierzy, która nie będzie powiększona ani teraz, ani w żadnym innym czasie, chyba, gdyby tego konieczność wymagała.

5. — Wszystkie działa, prochy i inne zasoby wojenne, jakiekolwiek one mają nazwiska, ze szczególnym ich spisem, wyżej wspomnianemu hrabiemu wydane zostaną. W tym względzie Ojcowie nic nie zatają, pod karą śmierci. Również wszystkie miejsca podziemne, któreby warowni szkodliwemi być mogły, Ojcowie pokażą rzeczonemu hrabiemu, albo jego zastępcy, pod tąż samą karą.

6. — Rozpuszczą natychmiast wszystko żołnierstwo, które teraz mają, tak hajduków, jak innych, i żadnego żołnierza, czy to jawnie,

czy to potajemnie, bez wyraźnego pozwolenia hrabiego lub jego zastępcy, utrzymywać, zaciągać, ani żywić nie będą.

7. — Zrzekają się wszelkiego porozumienia się z nieprzyjaciołmi Jego Królewskiej Mości, króla szwedzkiego, bądź na piśmie, bądź ustnie, bądź jakimkolwiek innym sposobem i święcie przyrzekają o wszystkiem, cokolwiekby się z ich wiedzą na szkodę najjaśniejszego króla szwedzkiego działo, wcześnie donieść i temu złemu z całą swoją możnością i niezachwianą wiernością zapobiedz.

8. — Wreszcie, wywdzięczając się za umowę niniejszą, Ojcowie i zgromadzenie ofiarują się wyżej wzmiankowanemu hrabiemu i jenerałowi pewną sumę pieniężną w gotowiźnie wypłacić.

Z drugiej strony, hrabia wyżej wspomniany przyrzeka imieniem najjaśniejszego i najpotężniejszego króla Karola Gustawa czcigodnym Ojcom i całemu zgromadzeniu zupełne bezpieczeństwo, nietykalność ich włości i świętości."

Okrzyk oburzenia ze wszystkich piersi się wyrwał, gdy odczytano bezecne warunki.

— Przysięgi? — zawołał przeor — żądają przysięgi? Snać lekko im składać przysięgi, skoro tak niemi szafują. Każą łamać dawne, a nowe głosić, jak gdyby szło o zdjęcie jednej a przywdzianie inszej sukni. I karą śmierci grożą za szczyptę prochu, któraby się gdzie znaleźć mogła? Jakaż odpowiedź być może na to urągowisko?

— Ognia do nich! — krzyknął pan Czarniecki.

— Nie, nie! — podchwycił przeor — zakonnikom przystała pokora. — Poślę do nich Ojca Mieleckiego, niech im powie, że byłoby świętokradztwem, aby zakonnicy, którzy Bogu jedynie ślubowali, przysięgali na rzeczy świeckie; że byłoby bezbożnością pozwalać, aby heretycy znieważali obecnością swoją czci Bożej poświęcone miejsca; że obowiązkiem naszym jest raczej uczciwie poledz, niż żyć bezbożnie. A zatem, chociaż pan hrabia grozi, my jednak nigdy nie uczynimy tego, czego żąda.

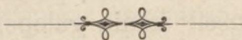
Poszedł z tą odpowiedzią Ojciec Mielecki. Z klasztoru widziano go, jak zbliżył się do Weyharda, już siedzącego na koniu; widziano też, że hrabia, wysłuchawszy posła, wspiął rumaka, zwrócił się do żołnierstwa, stojącego pod bronią i rozkazy wydawać począł. Ojciec Mielecki umknął się ku klasztorowi, a jednocześnie dym gęsty wzniósł się dokoła zabudowań przy kościele Ś-ej Barbary, te bowiem Weyhard podpalić kazał. Na ten krok zaczepny działa z murów klasztornych, na znak przeora i pobłogosławione jego ręką, zagrały. Zdumiał się Weyhard, usłyszawszy grzmot dział. Spojrzał na klasztor, potem na swoich, z których kilku padło, a po chwili puścił konia galopem, za nim zaś rejterowało żołnierstwo szwedzkie, kierując się ku Krzepicom.

Patrzył na sromotny odwrót nieprzyjaciela przeor Kordecki i modlił się natchniony. Naraz chwycił za rękę Zamoyskiego, a wskazując mu ćmę uchodzących Szwedów, rzekł:

— Szarańcza to, którą Bóg posłał na tę ziemię za grzechy nasze! Jakże dziwnych Bóg używa narzędzi, by grzesznych ukarać. A! tak, grzeszni jesteśmy i dojmować nam będzie moc Boża, dopóki nie opatrzymy się w grzechach i nie upadniemy głową, posypaną popiołem, piersią skrwawioną, okiem załzawionem — na ziemię, uznając winy! Jak karał Bóg Izraelitów za bałwochwalstwo i niestałość ich, tak karci nas za bałwochwalstwo samych siebie, za oziębłość na sprawę kraju, za nieposłuszeństwo prawu i za wszystkie przestępstwa, któremi skalani jesteśmy. Nie chcemy słuchać prawa właszego — nauczym się tej cnoty od drugich. I łkać będziem, i jęczeć, i prosić, i wzywać miłosierdzia, a długo, długo głuchym będzie Bóg na wołania nasze. I mordy, i srogie pożogi rozlewać się będą po ziemi naszej szeroko, głośno, i zdawać się będzie, jakby o nas Ojciec zapomniał, jakby nas odrzuciła Matka. Bo wielkie grzechy nasze, wielkie i nieprzepokutowane, gdyby Chrystusowa krew, to święte źródło i za nie się nie lała. Chrystusowi słudzy, dzieci Jego, krzyż nosim na piersiach, nie w piersi, słowo w ustach nie w sercu, prawo w księdze nie w czynie. Modlim się, a nawet modlitwą grzeszym, płaczemy — a złe są łzy nasze, jęczymy — a jęk nasz występny, krzyże stawim i ubieramy w nie kraj nasz, a pogańska pycha, pogańska chciwość, a bałwochwalstwo panują w nim i plamią krzyż Boży. Zaiste, łacniej Bóg przebaczyłby ślepym, niż tym, którym dane jest światło, a nie użyli go; którym dane prawo, a przekręcili je dla nieprawości swoich; którzy przysięgli na Chrzcie, a zapomnieli świętych przysiąg swoich, jak dzieci zabawki. Wielkie grzechy, — i kara musi być wielka, okropna, na którą wzdrygnie się ziemia i ludy płakać będą nad nami, jak nad najbiedniejszą sierotą. I staniemy się bezsilni, bo wielkie są grzechy nasze. Patrzę na kraj i widzę go z końca w koniec skalanym, czarnym, jak niebo burzliwej nocy, na którem tylko świeci błysk piorunowy i gwiazda mignie, chmurami zawleczona. Bóg sprawiedliwy, — ale wielki i potężny, i nieprzebrane miłosierdzie Jego.

Tak mówił przeor Kordecki i płakał, a pan miecznik sieradzki, słuchając tego, drżał wylękły, stał, niby przed prorokiem, blady i oniemiały.

(D. c. n.)





Błogosławiony Stefan, trzeci prowincyał zakonu.

Odznaczał się osobliwszą czcią dla cnót zakonnych, jak ubóstwa, pokory, a szczególniej czystości obyczajów. Cnoty te sprawiły, że z pogodą ducha zstępował do grobu.

(Kopia z obrazu, znajdującego się w jednym z kurytarzy klasztoru Jasnogórskiego.)

KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

Część siódma księgi streszczanej nosi tytuł ogólny: „Cudowne ślepym, niemym, głuchym, na ręce i nogi niedołężnym, mowy, rąk i nóg władzy przywrócenia, mocą Wielowładnej w obrazie częstochowskim Najświętszej Bogarodzicy Panny Maryi.“ W pierwszych czterech rozdziałach opisane są przywrócenia wzroku. Rozdział pierwszy tak jest zatytułowany: „Niewidomych, a naprzód co potrzebniejszych Bogu i ludziom duchownych i świeckich przezacne osoby oświeca Światłość ze światłości — Najświętsza Bogarodzica Panna Marya.“ Mamy tu następujące zdarzenia:

R. 1515. Małgorzata, córka szlachcica Mikołaja Tuły z Grabowca, powiatu bielskiego, na Litwie, po ciężkiej chorobie wzrok utraciła. Rodzice wszystkich ziemskich środków używali, aby dzieweczkę z kalectwa uwolnić, lecz daremnemi były ich zabiegi. Udali się tedy z błaganiem do Panienki Jasnogórskiej i niedarmo. Dzieweczka, zaraz po ofiarowaniu jej na miejsce święte, wzrok odzyskała.

R. 1550. Jan Winarycki, szlachcic, złożył do ksiąg klasztornych zeznanie tej osnowy: „Ja, Ja Winarycki, J. W. Jakuba Łaskiego, kasztelana łęczyckiego, pisarz, jawnie wyznawam, iż mnie Pan Bóg ciężką chorobą raczył nawiedzić tak, żem cały rok nie widział, a gdym się obiecał udać na miejsce święte do Częstochowy, natychmiast za wymówieniem tych słów tejże godziny przejrzałem.“

R. 1591. Jakub Poznański, szlachcic z pod Pułtuska, po ciężkiej chorobie oślepł i długi czas to kalectwo znosił.

— Czemuż się nie udasz do Najświętszej Panny Częstochowskiej? Czemu od tego Słońca Rajskiego ratunku nie żebrzesz? — rzekł mu jeden z Ojców Bernardynów, bo w ich klasztorze leżał.

Przypadły te słowa do głowy i serca nieboraka, niezwłocznie kazał się do kościoła prowadzić i tam solenny ślub odbycia pielgrzymki na Jasną-Górę uczynił. Zaraz trochę widzieć począł. Nie ociągając się, ruszył w drogę, a im więcej się zbliżał do celu, tem więcej wzrok mu się rozjaśniał, zaś na Jasnej-Górze kalectwo zupełnie go odstąpiło.

R. 1597 w księgach klasztornych zapisano zeznanie ks. Macieja Kozłowicza, tej treści: „Ja, Maciej Kozłowicz, wikary kurzeniecki, wielbię i niewymowne miłosierdzie Boskie wyznawam, albowiem będąc bardzo schorzały, tak, iż wzrok utraciłem przez 20 niedziel, a żadnego już niemając ratunku od doktorów, skorom się spuścił na miłosierdzie Boskie, obiecując nawiedzić miejsce święte na Jasnej-Górze, dostąpiłem łaski zdrowia i wzroku.“

R. 1598. Z choroby ciężkiej i ślepoty uleczony został, za łaską Panienki Janogórskiej, Jakub Jezierski, szlachcic z powiatu łukowskiego.

Tegoż roku do ksiąg klasztornych szlachcic Lasocki podyktował zeznanie takie: „Ja, Tomasz Lasocki, wyznawam, jako wielkie miłosierdzie Pańskie i wspomożenie przyczyną Najświętszej Panny Maryi, iż w młodych leciech będąc bardzo oszpecony w chorobie, bom nie widział przez długi czas, a matka moja i wszyscy już rozumieli, że mi źrenice z oczu już wypłynęły. Lecz gdy mnie obiecano na miejsce święte do Częstochowy, wnet za przyczyną Najświętszej Panny pokazał Pan Bóg nade mną miłosierdzie, iżem zaraz przejrzał i ozdrowiał. Nadto, ilem razy poruczał się pod obronę Najświętszej Panny, zawszem doznawał wielkiego dobrodziejstwa Jej w potrzebach, służbach i różnych niebezpieczeństwach.“

R. 1598., Najświętsza Panna przywróciła wzrok Annie Wiśniewskiej, szlachciance, która przez lat 14 ciemną pozostawała.

R. 1611. Magdalena Świecka ze Świecz, szlachcianka, „trzy lata nie znała dnia, a tylko noc ciemną w oczach nosiła“ i dopiero po udaniu się do łaski Panienki Jasnogórskiej wzrok odzyskała.

R. 1613. Filip Wołudzki, chorąży, potem wojewoda rawski, bieżał z domownikami bronić dwór swój od pożaru i biegnąc, upadł na pień, na drodze leżący, tak nieszczęśliwie, iż oko sobie wybił. Wypłynęło mu całkiem natychmiast. „Na takie kalectwo doktora w świecie nie naleźć, więc udać się postanowił do jedynie pomocnej Najświętszej Panny na Jasną-Górę. Jakoż puścił się w drogę, mając ze sobą Ojców Jezuitów, a przybywszy pod Jasną-Górę wieczorem, gotował się w gospo-

dzie na jutrzejsze nabożeństwo. Już wszyscy, uspokoiwszy się, spali, on nie spał, trwając na modlitwach i westchnieniach nabożnych. Gdy się tak modli, uczuł niespodzianie bolenie i łupanie głowy, poczem krew z ropą płynąć mu po szatach zaczęła. Nie wiedząc, co to takiego, budzi czeladź, światło nieść każe i ze zdumieniem przekonywa się, że na obydwa oczy widzi zdrowo. Trudno mu wierzyć. tedy bierze książkę i czyta doskonale okiem cudownie odzyskanem. Rano pokwapił się do kościoła z dziękami i z uwielbieniem Najświętszej Panny, a na pamiątkę kazał cud ten odmalować na tablicy, nieco zaś później polecił go na blasze srebrnej wyrazić, a blachę w kaplicy zawiesił. Odtąd zwano go „Panny Maryi oczkiem" i on sam też siebie tak nazywał."

R. 1631, Najświętsza Panna przywraca wzrok i mowę Ojcu Bernardowi Pleszowskiemu, ze zgromadzenia Franciszkanów.

R. 1640. Ks. Augustyn Cybulski, proboszcz w Kasku, odprawiając Mszę Świętą, po Konsekracyi, zaniewidział. „Stanął zatrwożony, od bolu i bojaźni ledwie się żywym czując, a ludzie, nie wiedząc o przygodzie, dziwowali się, iż tak długo Mszę odprawia. Zrozpaczony kapłan zwrócił się myślą o ratunek do Najświętszej Panny Jasnogórskiej, a Królowa Niebios prośby nie odrzuciła. Przejęty wdzięcznością, odbył pielgrzymkę na Jasną-Górę i jako wotum, obrus pięknie wyszywany na ołtarz Najświętszej Panny złożył."

R. 1640, uwolnioną zozstała od ślepoty, za sprawą Panienki Jasnogórskiej, Katarzyna Grotowska, szlachcianka.

R. 1641, Najświętsza Panna przywróciła wzrok jednocześnie ojcu i synowi Jeżowskim.

W rozdziale drugim części siódmej dzieła, ks. Nieszporkowicz zgromadził inną kategoryę wypadków cudownego odzyskania wzroku:

R. 1597. Jan Słupowski, szlachcic, utraciwszy wzrok, wskutek złośliwych wrzodów, które mu się dokoła oczu uformowały, kazał się zawieźć na Jasną-Górę. Wprowadzony do kaplicy cudownego wizerunku, upadł krzyżem, żebrał Panią Anielską o litość. Doznał łaski, zanim powstał, a na cud ten dużo ludzi patrzyło.

Tegoż roku przybył z kompanią na Jasną-Górę Marcin Obiatyński z Kamieńca Podolskiego, który od lat czterech nie widział, nie słyszał i nie mówił. Gdy krzyżem leżąc, błagał Najświętszą Pannę o zmiłowanie, doznał uzdrowienia w jednej chwili. Porwał się z ziemi, a radością i wdzięcznością zdjęty, jął wołać na głos cały:

— Chwała Tobie Chryste, z Matką Twoją Maryą Panną!

Tłumy wiernych dzieliły jego radość i sławiły dobroć Panienki.

R. 1600. Paweł, mieszczanin z Zamoyska, który był po ciężkiej chorobie wzrok i słuch utracił, również na Jasnej-Górze, przed cudownym wizerunkiem, obydwa te zmysły odzyskał.

R. 1602. Tomasz Legen, szlachcic z Węgier, przez sześć lat był ślepy, chromy i puchliną całego ciała dręczony. Słysząc o cudach Najświętszej Panny Częstochowskiej, przyjechał na Jasną-Górę. Tu, po Spowiedzi i Komunii świętej, zupełnie, ze wszystkich niemocy, uleczony został.

R. 1613. Małżonka Stanisława Bozowskiego, mieszczanina lwowskiego, Barbara, rażona ślepotą, daremnie u lekarzy rady szukała. Wreszcie udała się pieszo na Jasną-Górę, prowadzona przez Reginę Niedźwiedziankę i innych lwowskich sąsiadów swoich. Łaski doznała zaraz w progu kaplicy cudownego wizerunku.

R. 1617. Regina Morzyna, szlachcianka z województwa smoleńskiego, lat sześć ślepotę znosiła. Po upływie tego czasu, ofiarowała się na Jasną-Górę. Przyszedłszy, modliła się gorąco przed obrazem cudownym i niedaremnie, bo po dwóch dniach, w święto Wniebowzięcia Bogarodzicy, wzrok odzyskała.

R. 1623, uzdrowiony został w kaplicy cudownego wizerunku Joachim Uleyski, szlachcic, który przez cztery miesiące nic nie widział.

R. 1626, wzrok odzyskał na Jasnej-Górze Michał Mroza, cieśla, ze wsi Świndz, pod Gdańskiem. Ten przez cztery lata był ociemniałym.

R. 1627, Najświętsza Panna przywróciła wzrok korzącej się przed Jej wizerunkiem na Jasnej-Górze Reginie Stanisławowiczowej, mieszczce ze Lwowa.

R. 1628, przywiozła na Jasną-Górę Helena Szwaydlinowa, szlachcianka z Węgier, ze wsi Grynawy, synaczka trzylatka, od urodzenia ślepego. Gdy niebożątko złożyła przed obrazem cudownym, odzyskało ono wzrok.

R. 1631, rozwarły się oczy i zdolność widzenia wróciła Dorocie Strykowskiej, ślepotą tkniętej, gdy modły o to zanosiła w kaplicy cudownego wizerunku.

R. 1639, odzyskał wzrok na Jasnej-Górze, w dzień Ś-ej Trójcy, Wojciech, ślusarz z Olkusza, którego przez sześć miesięcy noc czarna otaczała.

W rozdziale trzecim części siódmej swej księgi, ks. Nieszporkowicz zgromadził cudowne wypadki odzyskania wzroku w drodze na Jasną-Górę:

R. 1608. Stanisław Buszkiewicz, mieszczanin z Wilna, przez trzy lata daremnie opłacał doktorów, poszukując u nich ratunku na ślepotę. Wreszcie ofiarował się na Jasną-Górę. Udając się w drogę, odwiedził przedtem grób Ś-go Kazimierza królewicza, znajdujący się w katedrze wileńskiej i tam już nieco przejrzał. W drodze wzrok mu się rozjaśniał, a zanim przybył na miejsce święte, już widział doskonale.

Z DZIEJÓW KLASZTORU JASNOGÓRSKIEGO.



Pobożny Piotr,

któremu anioł we śnie oznajmił o zbliżającej się śmierci. Korzystając z tej przestrogi, choć zupełnie zdrów, uzbroił się na drogę wieczności przez przyjęcie Świętych Sakramentów i wkrótce zmarł. Było to w roku 1493.

(Kopia z obrazu, znajdującego się w jednym z kurytarzy klasztoru Jasnogórskiego.)

R. 1623. Jędrzej Zielonka, mieszczanin ze Lwowa, porażony ślepotą, uznając ją za dopust Boży, jako karę za grzechy, pielgrzymował do miejsc świętych, łaskami Najświętszej Panny słynących. Był zatem w Sokalu i w Leżaysku, lecz bez zupełnego skutku. Przejrzał wprawdzie trocha, lecz niebawem znów go ogarnęła ciemnota. Tedy udał się na Jasną-Górę, prowadzony przez małżonkę Reginę i córkę Jadwigę. Zaledwie trzy mile uszedł, oczy jego klar widzenia doskonały odzyskały.

R. 1639. Zofia, ze wsi Golenic, leżącej pod miasteczkiem Kęty, na Podgórzu, zaniewidziała i przez półtora roku klęskę ślepoty znosiła. Dowiedziawszy się, iż mieszkańcy Kęt udają się na Jasną-Górę, rzekła do nich:

— I ja też pójdę z wami do Matki miłosierdzia, Najświętszej Panny, azaż mnie pocieszy, iż przejrzę za Jej przyczyną przed Bogiem.

Jakoż ledwie za próg domu swego wyszła, wzrok odzyskała, co ją jednak od ślubowanej pielgrzymki nie powstrzymało.

R. 1646 wzrok odzyskał w drodze na Jasną-Górę Jerzy Piotrowski, szlachcic, dworzanin wojewody podlaskiego, po dwunastu latach ciemnoty.

(D. c. n.)



ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

Pomknęli tedy pohańce ku stolicy Śląska, mniemając, iż tam zawód, w Krakowie doznany, sowicie im się wynagrodzi. W drugie święto Zmartwychwstania Pańskiego, połączyli się z oddziałem swoich, którzy okolicę Łęczycy i Kujawy pustoszyli ogniem i mieczem. Była pomiędzy nimi wielka radość, wielki tryumf i wesele stąd, że im się udało zwycięsko a bez szkody zdążyć do siebie i wzajem się powitać.

Tu nadmienię, że ci z pohańców, którzy w Łęczyckie się zapuścili, klasztor w Witowie także splondrowali i wymordowali wszystkie mniszki, okrom trzech, które do lasów zbieżały. Dlatego też, widzicie, mniszki z rzeczonego klasztoru przeniesiono do Buska, w dyecezyi krakowskiej, jako w miejsce nierównie bezpieczniejsze, opactwo zaś buskie przeniesiono do Witowa.

Drogę do Wrocławia znaczył Tatarzyn, obyczajem barbarzyńskim, krwią i pożogą, a klęska ta sprawiedliwym Boga wyrokiem była na lud chrześcijański przypuszczona. Każden drżał w duchu, trwoga i zwątpienie opanowały umysły wszystkich, tak, iż jedni na drugich poglądali z przerażeniem i jakby obłąkani, nie mogąc wzajem żadnej udzielić sobie rady ani pociechy. Tatarzyn zaś, minąwszy Racibórz, przeprawił się przez Odrę częścią w bród, a częścią na statkach, gdyż mosty nalazł popsute, albo całkiem pozrywane, a przeprawiwszy się, pchnął jeden oddział nieostrożnie za grabieżą. Mieczysław Kazimierczyk, książę opolski, oddział ten pokonał, wygniótł niemal ze szczętem.

Rozjuszył się Tatarzyn i całą ordą pociągnął dla pomszczenia braci, o czem wcześnie zawiadomiony Mieczysław, nie mogąc się z ćmą taką potykać, zbiegł do brata swego Henryka, księcia wrocławskiego, który gromadził wojsko przeciwko pohańcom w Lignicy.

Tatarzyn, skoro mu się książę Mieczysław wymknął, dalejże do Wrocławia. Mieszkańcy onej stolicy, podobnie jak krakowianie, pouciekali śpiesznie, zabierając, co mieli kosztowniejszego. Rycerstwo jeno zamknęło się w zamku, zniszczywszy wprzód ogniem wyludnione miasto, aby pastwy i schroniska barbarzyńcom nie ostawiać. Rozsrożył się pohaniec, nalazłszy miasto pustem, z ludzi opróżnionem i mienia wszelkiego, gwałtowne szturmy do zamku przypuszczać począł. Zamek jednak trzymał się dzielnie, o poddaniu ani myślał. Aliści oblężenie się przeciągało i dobyłby pewnie pohaniec zamku (bo załoga, w żywność nie zaopatrzona, głodem przymierać zaczęła), gdyby Brat Czesław, rodem Polak, z Odrowążów, z zakonu kaznodziejskiego, klasztoru wrocławskiego Ś-go Wojciecha pierwszy przeor, który również tamże z Braćmi swego zakonu szukał ochrony, modlitwą swoją do Boga i pobożnemi łzami, nie uwolnił był warowni od oblężenia. Kiedy bowiem oddawał się modlitwom na wale zamkowym, słup ognisty z nieba spuścił się na jego głowę i Wrocław z całą okolicą cudownym, niewysłowionym blaskiem oświecił. Cud ów takim strachem zdjął Tatarów, że niezwłocznie od Wrocławia odstąpili, zwracając się natomiast do Lignicy.

Zadymiła się ich droga dymem pożarów, zabluzgała ją krew ofiar niewinnych. Wtedy to, księżna Jadwiga, wdowa po Henryku Brodatym, księciu wrocławskim, a macierz jego na stolicy wrocławskiej następcy, Henryka także z imienia, zaś z przezwiska Pobożnego, pani wielce cnotliwa, która już za życia nadzwyczajną łaską u Boga i widoczną jaśniała świętością, a której świętość po śmierci cuda liczne, za jej sprawą doznawane, niezbicie stwierdziły; ks. Jadwiga tedy, wówczas przebywająca w Trzebnicy, w umiłowanym przez siebie tamtejszym klasztorze mniszek Cystersek, przenieść się musiała z znakonnicami do zamku w Krośnie, przy zbiegu rzek Odry i Bobra leżącym, ile że klasztor w Trzebnicy nie był obwarowany, a na szlaku, którym dążyli Tatarzy, leżał. Również do Krosna sprowadziła księżnę Annę, małżonkę syna swego, księcia Henryka.

Książę Henryk, postanowiwszy walkę z Tatarami stoczyć, śpiesznie się do niej przygotowywał. Więc powołał do broni, z Wielkiejpolski i Śląska, wszystkich, kto jeno był do tego zdolny, pozaciągał także ochotników z innych krajów. Stawili się tedy powołani, a znajdowali się między nimi: świeccy rycerze Krzyżowi, którzy się do Ziemi Świętej wybierali, aby z rąk saraceńskich Grób Zbawiciela Pana odebrać; znajdował się Mieczysław, książę opolski z pocztami swemi; Bolesław Szepiotka,

syn margrabiego morawskiego Dypolda, siostrzan Henryka Brodatego, znajdował się wreszcie Wielki Mistrz Krzyżaków, Poppo von Osterna, z zakonnem swojem rycerstwem. Mnogie to były siły, ale nie dorównywały tłumom pogańskim, które o wiele były liczniejsze. Książę Henryk jednak dobrej był otuchy; sam siebie krzepił i innych nadzieją zagrzewał, przemawiając:

— Większej wagi, znaczniejsze jest zwycięstwo takie, które przez śmierć ciała tryumf duszy daje! I niema zaiste świetniejszego zwycięstwa, nad dające tryumf duszny. Wódz i rycerze chwałę sobie trwałą zapewniają, jeśli śmierć na polu walki w obronie wiary chrześcijańskiej ponoszą; gdy tymczasem jeśli zwyciężają a potem żyją w niesławie, lepiej, żeby nie żyli.

Pobożny książę, zanim na bitwę wyruszył, do Krosna się udał, po błogosławieństwo macierzyste. Udzieliła mu go świętobliwa pani, a chociaż duchem proroczym wiedziała, że i on zginie, i wojsko jego klęskę poniesie, jednak go od obowiązku nie odciągała, owszem, zachęcała go i upominała, iżby sobie poczynał walecznie. Nawet smutku, nawet wzruszenia nie okazała, lica jej były pogodne, bo zawsze zgadzała się pokornie z wolą Najwyższego, z Jego wszystko do dobrego końca kierującym zawsze wyrokiem.

Przed wyruszeniem z Lignicy, książę Henryk z całem rycerstwem Mszy Ś-tej ze skruchą słuchał, spowiedź odprawił i Wiatyk Ś-ty przyjął. Zaczem szyki konno objechał, a podczas tego przeglądu, kamień, z wieży kościoła Panny Maryi się stoczył i o kęs mu czaszki nie zgruchotał... Złą to wróżbą było, czego wszakże książę do serca nie wziął. Powtarzał wesoło:

— Co Bóg zdarzy, przyjąć trza bez szemrania.

Wyruszywszy z Lignicy, na szerokiej równinie, zwanej od żyzności Dobrem Polem, wedle której rzeka Nissa płynie, hufce swoje rozwinął, na pięć zastępów je podzieliwszy. Pierwszy zastęp składali świeccy rycerze Krzyżowi, ochotnicy zaciężni z różnych krajów i górnicy z kopalń złota, które też po niemiecku zwały się *Goldberg*; dowodził tą siłą Bolesław Szepiotka, syn margrabiego morawskiego. Drugi był utworzony z Krakowian i Wielkopolan, tym zaś dowodził Sulisław, brat Włodka, kasztelana krakowskiego, który pod Chmielnikiem chwalebnie poległ. W trzecim uszykowali się rycerze opolscy, pod wodzą swego księcia, Mieczysława. Czwarty tworzyli rycerze zakonni, Krzyżacy, jak my ich zowiemy, z Wielkim Mistrzem, Poppoem von Osterna. Piątym wreszcie, utworzonym z Ślązaków, Wielkopolan i również ochotników zaciężnych, dowodził sam książę Henryk. Tatarzy także na pięć oddziałów byli podzieleni.

Starcie nastąpiło dnia 9 kwietnia, w poniedziałek, po oktawie Wielkiejnocy. Książę Henryk, ulegając usilnym prośbom, pozostawił zaszczyt rozpoczęcia bitwy oddziałowi pierwszemu. Obydwie strony uderzyły na siebie z wielką gwałtownością. W pierwszej chwili wydało się, że rycerze Krzyżowi, ochotnicy zaciężni i górnicy zachwiać się nie dadzą, bo złamawszy kopiami na czele szyki pohańców, znacznie posunęli się naprzód; gdy jednak przyszło, po skruszeniu kopij, do rozpraw na miecze i topory, łucznicy tatarscy oskoczyli ich ze wszystkich stron i tak gęsto, że ich niby kleszczami ujęli, nie pozwalając pomocy do nich podbiedz. W takich opałach się nalazłszy, pierwszy oddział chrześcijański zachwiał się. Od chmur strzał tatarskich, wojownicy jego padali, niby kłosy nieźrałe pod gradem nawalnym. Wreszcie, gdy Bolesław Szepiotka ranę otrzymał, a insi przednich szyków rycerze na placu śmierć waleczną ponieśli, reszta oddziału, nie mogąc dłużej ostać się pod deszczem zabójczym strzał, do głównego ogniska sił polskich pierzchła...

Widząc to, Sulisław i Mieczysław, opolskie książę, ze swojemi hufcami do walki runęli. Potykali się z trzema oddziałami Tatarów, a chociaż oddziały te wciąż nowe posiłki, w miejsce rannych i zabitych, otrzymywały, nietylko, że się krokiem nie cofnęli, lecz murem stojąc, wielką klęskę barbarzyńcom zadawali. Ordyńcy już ustępowali, już, żywiej przyparci, uciekać jęli w popłochu, nagle coś niezwyczajnego się stało. Wojownik jeden (na razie nie wiedziano kto: czy ordyniec, czy nasz, dopiero później okazało się, iż Tatarzyn to był bezecny!)—jął pląsać pomiędzy wojskami, rękoma wymachiwać, pokrzykując głosem piorunowym:

— Bieżajcie! Bieżajcie!

Krzyki te — dziwneż zaiste dopusty Boże są! — Polaków zwyciężających trwogą przejęły, a Tatarów, już skruszonych, złamanych niemal, męstwem napełniły. Książę Mieczysław opolski, nie przewidując w krzykaczu chytrka i wroga, natomiast biorąc go za swojaka, któren przed nowem jakiemś niebezpieczeństwem ostrzega, zawrócił się, uciekać począł, znaczną część wojska za sobą pociągając. Książę Henryk, oczyma własnemi na to patrząc, dłonie do góry wzniósł, zawołał żałośnie:

— Gorze! Gorze! Wielkie to dla nas nieszczęście!

Aleć ucieczka książęcia Mieczysława ani go zatrwożyła, ani męstwo z serca wypłoszyła. Skinął na swoje hufy, najdzielniejsze i najwybrańsze, z niemi rzucił się na pohańców, na owe oddziały już poprzednio przez naszych skruszone, ostatecznie je rozgromił i do ucieczki przywiódł. Wówczas Baty sam oddział czwarty, nad wszystkie inne liczniejszy, do boju wwiódł. Nad pojęcie straszliwem było jego natarcie, a to również ważne jest, że rozbici i pierzchający barbarzyńcy znów się do walki

zwrócili. Ale książę Henryk i jego wojownicy nie dali się złamać; zdało się, że nawet nie uczuli straszliwego taranu z ciał żywych, któren ich zmiażdżyć usiłował. I trwał bój zażarty długo, i już szala zwycięstwa na naszą stronę przechylać się zaczęła, bośmy znaczną część co przedniejszych pohańców wysiekli, — już Tatarzy do ucieczki się mieli, gdy nowy dopust Boży postać rzeczy zmienił...

Mieli bowiem barbarzyńcy w wojsku swojem, pomiędzy innemi, chorągiew jedną wielkości nadzwyczajnej, z wymalowanym na niej znakiem, do krzyżulca ot takiego podobnym...

Tu kasztelan palce tak złożył skazujące, iż literę X utworzyły, poczem dalej rozpowiadał:

— Taki kształt miał znak. Zaś na samym szczycie chorągwi, widniała głowa, nad wszelki wyraz potworna, ze srogiemi ślepiami i długą brodą. Kiedy owo pohańce już o jedną staję w tył się cofnęli i kiedy do pierzchnięcia ostatecznego się zabierali, Tatarzyn, dzierżący on proporzec, począł nim z całej siły machać, a natychmiast gęba głowy potwornej się rozdziawiła i dym z niej buchnął, para gęsta, wyziew tak smrodliwy, który wojska nasze owionął, przyprawując o omdlenie i osłabienie niepojęte. Dość rzec, iż wojownicy nasi, od tej woni zabójczej, słaniać się na nogach poczęli, a insi wprost padali na ziemię. Wiedzcież to bowiem, że Tatarzy zawdy w wojnach i wszelkich sprawach używają czarów, wróżb, uroków i zaklinań. Niema między narodami barbarzyńskiemi żadnego, któryby taką sprawność czarowania, jak oni, posiadał. Również sztuki czartoskiej zażyli wówczas...

Czartostwo im się udało. Skoro postrzegli, że nasi, od onego dymu i pary cuchnącej, stracili siłę, przytomność i serca, huknęli krzykiem przeraźliwym i zawrotem natarli, a łacno złamawszy nasze szyki, sprawili wśród nich jatki okrutne. Książę Bolesław Szepiotka padł jeden z pierwszych, z wielą znakomitymi rycerzami. Wielki Mistrz krzyżacki, Poppo, ze swoimi Prusakami, również klęski straszliwej nie uszedł. Reszta wojska naszego, widząc klęskę nieuchronną, pierzchła. Lecz książę Henryk wciąż walczył, otoczony gromadą drużyny wiernej. Ćma nieprzejrzana Tatarów napierała ich ze wszech stron, oni przecież cięli i siekli, usiłując się przebić przez one fale olbrzymie pogaństwa... Gromada polskich rycerzy, dokoła księcia walczących, malała z każdą chwilą. Już owo czterech jeno uwijało się przy nim rycerzy, a tymi byli: Sulisław, brat wojewody krakowskiego, któren pod Chmielnikiem był poległ, Klemens, wojewoda głogowski, Konrad, Konrada syn i Jan, syn Jana. Ci czterej księcia Henryka z wielką siłą i trudem uprowadzili z pola, a przedarłszy się przez gęste kupy wrogów, zamierzali ucieczkę, aby przez ocalenie księcia, mniej dotkliwą i sromotną powszechna stała się klęska. Jakoż zamiar byłby się udał, gdyby nie to,

iż koń pod księciem ledwie postępował, tak go pohańce poranili. Tedy Tatarzy, którzy Henryka po oznakach dostojności książęcej poznali, łacno go dogonili i znów oskoczyli. Bronił się książę samotnie, bo Jan Janowicz odbił się był od niego i dopiero po chwili przypadł, prowadząc nowego konia, wziętego od Rościsława, komornika książęcego. Przesiadł się książę na tego konia i pędził za Janem Janowiczem, torującym mu drogę wśród nieprzyjaciół, w ten sposób usiłując umknąć. Ale tylko Jan Janowicz ujść zdołał. Księcia po raz trzeci oskoczyli Tatarzy i gdy się już na jednego z nich zamierzał mieczem, inszy dzidą pod pachę go dźgnął. Zwalił się z konia książę waleczny, Tatarzy zaś z wielkim okrzykiem i wrzawą zwlekli go z miejsca, rzucili na bok o dwa rzuty z kuszy, tam mu głowę uciąwszy, zatknęli na drzewcu, a ciało nagie, z szat książęcych odarte, w polu zostawili...

— Krew w żyłach cierpnie, gdy się o klęsce takiej słyszy! — zawołał Ordęga.

— I że też Bóg Najwyższy pozwolił pohańcom tak znęcać się nad ludem Swoim chrześcijańskim! — dorzucił Drya.

— Za wielkie grzechy wielka iść musi kara — wtrącił kanonik od Panny Maryi, ks. Werner — a myśmy, jakom nieraz powiadał, srodze Stwórcę obrazili.

— Zawdy lepsza klęska ziemska, niż wieczne potępienie — szepnął kanonik Mikołaj.

— Panów i znacznego rycerstwa postradalim w on czas mnóstwo— ozwał się kasztelan, dłonią po czole pociągając. — Oto poległ Sulisław, brat Włodzimierza, wojewody krakowskiego, i Klemens, wojewoda głogowski, i Konrad Kondradowicz, i Stefan z Wierzbny, i syn jego Andrzej i Klemens z Pełeznicy, syn Andrzeja, i Tomasz Piotrowicz, i Piotr Kuza... Zaś księżna Jadwiga, przebywająca w Krośnie, śmierć syna oraz klęskę powszechną miała od Ducha Ś-go objawione, a nawet mniszce pewnej o tem oznajmiła...

— A z Janem Janowiczem, co się stało? Nie poległ?—zagadnął Ordęga.

— Ten z dwoma giermkami umknął z pola. Ścigany przez dziewięciu pohańców, złączył się po drodze z rycerzem Luzmanem, podobnież samotrzecim, w pewnej wsi, o milę od bitwy. Z taką siłą, lubo osłabiony dwunastu ranami, ścigających go barbarzyńców natarł, że ośmin z nich trupem położył, a dziewiątego brańcem wziął. Potem wstąpił do klasztoru Dominikanów, gdzie życie poświęcił pobożności i służbie Boga, który go Swą Opatrznością w tak wielkiem niebezpieczeństwie uchował.

— A książę Mieczysław opolski?

— Ten z garścią swoich ludzi do zamku lignickiego się schronił, nie zasłużywszy na wieniec męczeński, pozyskany przez tylu rycerzy, za wiarę Chrystusa poległych...

— A zwłoki księcia Henryka, naleziono?

— Toć czekajcież, trza porządkiem opowieść prowadzić, nie na urwanego — odparł kasztelan i odsapnąwszy nieco, kończył tym ładem krwawe dzieje tatarskich nad rycerstwem chrześcijańskiem tryumfów:— Tatarzy tak znaczne zwycięstwo odniosłszy, nabrali łupu moc i każdemu z poległych jedno ucho oderżnęli, pragnąc się dowiedzieć, ile luda chrześcijańskiego ze świata zgładzili. A głowę księcia Henryka, zatkniętą na najwyższej włóczni, pod mury zamku lignickiego zanieśli i ukazując ją oblężeńcom mówili:

— Macie nam po zwyciężeniu i zabiciu księcia Henryka te mury oddać.

— Za jednego wodza poległego, mamy innych wodzów podostatkiem, w synach walecznego księcia Henryka! — odpowiedziano im wyniośle z twierdzy.

Słuszna ta odpowiedź rozsierdziła pohańców niepomału, ale że sztuki oblężniczej nie znali, na zamku się zemścić nie mogli. Za to zemścili się na okolicy. Splondrowali ją doszczętnie, zaczem pomknęli do Odmuchowa, gdzie przez dwie niedziele obozem leżeli, rabując jednocześnie tamtejsze okolice, oraz pożogą je niszcząc. Z Odmuchowa ciągnęli na Raciborz, ale zatrzymali się w Bolesisku i nawrócili do Moraw, a stamtąd na Węgry. Te krainy splondrowali z większą jeszcze niż polskie zajadłością. Przeszło roku nad niemi się pastwili i dopiero po upływie tyla czasu wrócili kilkoma szlakami południowemi do siedlisk swoich na Wschodzie...

Dopiero po wyciągnięciu pohańców do Raciborza, zaczęto szukać ciała księcia Henryka, aby mu uczciwy, wedle chrześcijańskiego obrządku pogrzeb sprawić. Trudno je było naleźć, a to z przyczyny odciętej głowy i z tej jeszcze, że je barbarzyńcy do cna obnażyli. Aliści księżna Anna, wdowa po Henryku, wiedziała, iż małżonek jej miał sześć palców u lewej nogi. Po tym znaku rozpoznano ciało książęcia, a rozpoznawszy, sprowadzono do Wrocławia, gdzie w kościele Franciszkanów Ś-go Jakuba, z czcią wszelką, przynależną tak znacznemu księciu i bohaterowi, pośrodku chóru je pochowano. W tymże samym kościele Ś-go Jakuba pochowano zwłoki Wielkiego Mistrza pruskiego Poppona i braci jego Krzyżaków, a także inszych znamienitych rycerzy.

— Pono księżna Jadwiga, matka księcia Henryka — ozwał się Drya — gdy ją doszła wiadomość o śmierci syna i zgnieceniu całego wojska, okazała wielką moc nad swoją tkliwością macierzyńską i nietylko łzy żadnej nie uroniła, ale nawet smutku nie okazała na twarzy?

— Tak ci jest — potwierdził kanonik Werner. — A nadto księżnę Annę, wdowę po Henryku, i mniszki, taką zdjęte żałością, że ledwie duch się w nich plątał, wstrzymywała od płaczu i narzekania, przekła-

dając, że tę przygodę, wydarzoną z woli Boskiej, która jej już wprzódy była objawioną, raczej z wdzięcznością, niźli z wyrzekaniem i utyskiem przyjąć im należało. I podnosząc z wesołością duszę ku niebu, mówiła pobożnie: „Chwała Tobie i dzięki Boże litościwy, żem z łaski Twojej takiego wydała na świat syna, któren w życiu całem cześć mi należną okazywał, miłość, powinność synowską, a nigdy nie stał mi się przykrym, ani mnie czemkolwiek obraził; którego lubo pragnęłam w tym ziemskim i nietrwałym bycie oglądać żywym i zdrowym, wolę wszakże, owszem — cieszę się, raduję, że przez krew wylaną dla Ciebie i Twojej wiary wrócił na łono Swego Stwórcy, któremu ja, niegodna, duszę moją, z pokorą i głębokiem Majestatu Twego uczczeniem, polecam.“

— Święta była pani! — zawołano.

— Jak nasza Salomea!

— Obydwie już tu na ziemi Bóg jawnie do żywota rajskiego przeznaczył.

— A on Bolesław, Szepiotką zwany, gdzie spoczywa? — zagadnął kasztelan Ordęga.

— Tego pochowano w chórze bocznym klasztoru lubuskiego — odparł Sulima. — Na mogiłach zaś innych wiernych, którzy w miejscu bitwy pogrzebani zostali, wystawiono kościół, a ten możecie po dziś dzień oglądać.

— Wielka, straszliwa to była klęska — rzekł Werner — o czem sądzić można, iż Stolica Apostolska list ogłosiła do wszystkich mocarzy chrześcijańskich, nawołując ich, aby wojną krzyżową wsparli Polaków przeciw Tatarom. Pamiętam dobrze osnowę tego listu. Oto jak pisał Ojciec Święty: „Mnogie, zaprawdę, różne w sobie i nader bolesne trapią nas okoliczności, jako to: naglą̨ca sprawa w Ziemi Świętej, opłakany stan Państwa Rzymskiego i inne. Ale rzetelnie mówiąc, o tem wszystkiem i o sobie zapominamy, gdy nam na myśl przychodzą srogie Tatarów zagony. Lękać nam się bowiem, aby (Boże uchowaj) przez tych Tatarów za naszego czasu chrześcijaństwo nie szwankowało. Sama myśl o tem trwogą kości nasze przeszywa, mózg suszy, ciało wyniszcza, ducha i wszystkie władze umysłu przygnębia, tyle nam sprawia smutku, utrapienia, że nie wiemy, dokąd się udać po radę.” Śluzy oczne się rozwierają, gdy się czyta te wyrazy, a większa jeszcze boleść i trwoga serce przejmują, gdy się pomyśli, że nie wywarły one nijakiego skutku. Wywrzeć zaś były powinny, bo skoro dzicz pogańska mogła aż z głębokiej Azyi do chrześcijańskich krain przywędrować, Ruś shołdować, Polskę naszą, Morawy i Węgry przygnębić, to zali zdarzyć się nie może, iż napad powtórzy, posunie się dalej, w południowe Europy krainy, pognębi Niemce, Francyę, do Rzymu nawet trafi i Stolicy Apostolskiej zagrozi? Zali zdarzyć się nie może, iż dziczy tej przyjdzie ochota tak się utwier-

dzić w inszych krainach chrześcijańskich, jak się utwierdziła w Rusi? Namiestnik Chrystusów przestrzega i mądre zawczasu daje rady, ale mocarze chrześcijańscy głusi są na to i ślepi. Więc serce się kraje, żałością wzbiera i trwoga przejmuje tych, którzy dalej patrzą...

Długo mówił tym kształtem kanonik Werner, a słuchano go ze skupieniem, prawdę słowom jego przyznając. Wreszcie kasztelan Sulima odważył się wtrącić:

— Nie naszego pana miłościwego, Bolesława, o to winić. On chciał wyprawę krzyżową zwołać, starał się, ale insi mocarze, lubo rzekomo obiecywali rycerstwa dostarczyć, przecież na obietnicy się skończyło...

— A wojna z pogaństwem na włosku wisi — zauważył Drya. — Ze znaków na ziemi i niebie pewność tego można powziąć.

— Nadzieja w Bogu! — westchnął kanonik Mikołaj.

— Dla Zawichosta zaś także nadzieja i w orędownictwie do Boga świętej pani, księżnej Salomei — przyrzucił kasztelan. — Jej wstawiennictwa Pan Jezus nie odrzuca...

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XVI.

W namiocie Müllera od dwóch godzin odprawia przeróżne, wielce dziwaczne praktyki niemiecki astrolog Johan, człowiek leciwy, ociężały, wielki zaufany szwedzkiego generała.

Dzban wina, do połowy wypróżniony, stoi na małym stole, nakrytym świętokradzko pozłocistą kapą kościelną, zrabowaną w jednym z kościołów okolicznych.

Dwa kielichy złote, również z kościoła świętokradzko przez Müllera zabrane, służą mu przy piciu wina z Johanem.

Astrolog, w ciemnej szacie, o łysej głowie, twarzy napiętnowanej nadmiernem użyciem trunków, opuchłej, małemi krokami przebiega namiot wodza i wywijając rękoma, czyni jakieś zaklęcia.

Wódz szwedzki siedzi ponury, nachmurzony.

Naraz porywa się z fotelu, niedźwiedzią skórą okrytego, przypada do otyłego astrologa, chwyta go za ręce i woła:

— Johan, ja cię po królewsku obdarzę, słyszysz?... po królewsku... spraw jednak, żeby ten kurnik, to gniazdo białych mnichów ziemia pożarła!...

Astrolog Niemiec skrzywił się, odskoczył od Müllera i dalej jakieś znaki rękoma w powietrzu kreślił.

— Nie przeszkadzaj mi! — rzekł — bo właśnie zwoływam złe duchy, aby w przepaść rzuciły ten klasztor.

— Ale nie ze skarbami, Johan!... złoto niech zostanie!... Będziesz umiał tak zrobić!?...

— Czary moje wiele mogą, ale tam w tym klasztorze są także wielcy czarownicy, jeśli przez tyle tygodni opiera się ten kurnik szturmom wielkiego generała...

Generał usiadł ciężko za stołem, chwycił za kielich i duszkiem go wychylił.

— Masz, pij i ty, Johan! — rzekł, podając drugi puhar astrologowi.

Obaj przez chwilę chciwie pili, wreszcie Müller rzekł:

— Siłę mojego uderzenia, sprawność moich rot znają kraje Zachodu... Jam z prostego żołnierza szedł w górę po szczeblach zaszczytnych, aż zrównałem się z książętami... Sam król nasz nazywa mnie poufale: przyjacielem. Od skalistych i chłodnych granic Szwecyi szedłem zwycięsko aż tutaj, do stóp tej opoki, którą zowią Jasną-Górą?... Czyż to nie mnichów czary, że nie mogę w proch rozbić tej lichej forteczki?...

— I my teraz potężne rzuciliśmy czary... Po jutrzejszym szturmie zostaniesz panem klasztoru i o jeden wawrzyn sławniejszym.

— Johan!... czy prawdę mówisz?...

— Przygaś światło, generale, teraz rzucę najsilniejsze zaklęcia!

Müller zgasił woskowe świece, w namiocie zapanowała ciemność.

— Stań przy mnie, ekscelencyo! — rozkazywał astrolog — i wraz rzucajmy przekleństwa!... Mam ja przy sobie takie rzeczy czarnoksięskie, od których jutro, pod uderzeniami twoich pocisków armatnich, rozpadną się mury klasztoru. *)

— Na szatana! chętnie to uczynię, bylebym tylko w dniu jutrzejszym miał w garści to gniazdo krnąbrych mnichów...

— Będziesz miał!...

Müller stanął przy opasłym niemieckim astrologu i obaj głosem silnym zaczęli miotać przekleństwa.

Trwało to chwil kilka, poczem astrolog kazał zapalić świece.

— Będąż aby skuteczne te przekleństwa?—zapytał Müller, siadając w fotelu i z pod gęstych krzaczastych brwi, spoglądając na Niemca.

— Będą z pewnością... tylko, ekscelencyo, rzuć złemu duchowi garść złota... Rzuć na przepadłe!... do złota chytrze ciągną złe duchy...

Mówiąc to, nadstawił połę ciemnej sukni, a Müller rzucił w nią garść dukatów, wydobywszy ostrożnie sakiewkę z szerokich szarawarów.

— Niech szatan bierze!... niech przepadnie Częstochowa!...

---

*) Ksiądz Kordecki w swem pamiętniku o oblężeniu Częstochowy wspomina, że Müller, wierzący w gusła, czarami chciał szkodzić klasztorowi.

Astrolog zwinnie podrzucił połę, poczem ją zwinął i dukaty zniknęły w niej bez śladu.

— Jutro twój klasztor, ekscelencyo! — mruknął — najsilniejsze zaklęcia rzuciliśmy... Pijmy!

Pochwycili za puhary, pili, a tymczasem, tam w kaplicy Jasnogórskiej, przed Obrazem Cudownym Bogarodzicy modlił się ksiądz przeor Kordecki i modlitwą świętą wzywał na pomoc Królowej Niebios.

— Byleby jeno uspokoić ten kraj barbarzyński — mówił Müller— a odpoczniemy. Kościoły i klasztory zabierzemy na zbory kalwińskie i luterskie, każdy z nas otrzyma w zarząd prowincyę i tytuł książęcy... Zobaczysz, Johan, że najjaśniejszy nasz pan Karol Gustaw o wiernych sługach nie zapomni. Wszyscy w tym barbarzyńskim kraju polskim znajdziemy smaczne dla siebie kęski... Zadługo już ja tu pod tym kurnikiem siedzę i czas tracę... Ale mam nareszcie ciężkie działa, przysłał mi je feldmarszałek Würtemberg... No, teraz mnichów co do nogi wystrzelam, wytłukę, klasztor z ziemią zrównam... Niech kamień na kamieniu z niego nie zostanie!.. Temi działami można najgrubsze mury kruszyć..

I tak srożył się, pił, klął, złorzeczył miejscu świętemu opasły Szwed, zaślepiony niewiarą, nieuznający za Królową nieba i ziemi Bogarodzicy, a wtórował mu przytem przebiegły, opuchły na twarzy Niemiec-astrolog.

Wyglądali w tym wspaniałym namiocie jeneralskim, jak dwa złowróżbne puszczyki.

Wtem straż znać dała, że w pilnej sprawie jakiś człowiek widzieć się pragnie z jenerałem.

— Któż?... czego żąda? — zapytał surowo Müller.

— Zdaje się, że szpieg... złapaliśmy go na skraju obozu — odrzekł oficer.

— Wprowadzić!... czego chce?...

Oficer zniknął; astrolog chciał pożegnać Müllera.

— Zostań!... jesteś człek mądry... dobra i twoja rada..

Niebawem zakołysała się ciężka dywanowa zasłona u wejścia do namiotu i dwóch żołnierzy wprowadziło jakiegoś skrępowanego brodatego człowieka, w stroju cygańskim.

Był to Wukosz.

— O, jasny panie! — zawołał w języku niemieckim — każ mnie zabić, poćwiartować, końmi poszarpać, ale wysłuchaj... wysłuchaj!...

Mówiąc to, padł na twarz przed Müllerem.

Ten wysunął ciężki but z brzęczącą ostrogą i kopnął czołgającego się Cygana.

— Coś robił pod obozem? — zapytał groźnie.

— Do was, panie, biegłem z wieściami, które ważne będą dla was... Żądam tylko, abym mógł sam na sam z wami, jasny jenerale, pozostać.

— Dobrze! — rzekł Müller i skinął, aby żołnierze z namiotu wyszli. — Mów teraz! — rozkazał — podnieś się!

Cygan powstał i szybko zaczął mówić:

— Sława wojenna wasza znana jest na świat cały... Niema nad was większego wojownika... Wiedzcie jednak, jasny panie, że przynoszę wieści, które na tę sławę waszą godzą... Toć nie odejdę stąd bez nagrody.

Müller schmurzył brwi.

— Nagrody?... ha! psie cygański... jakiej nagrody żądasz?...

— Małej, jasny panie, bo jeno kartki pergaminu z twoim podpisem, że wolno mi przejechać do granicy węgierskiej, że nikt nie ma prawa z podwładnych twoich robić krzywdy, jak mnie, tak mojemu taborowi.

— Dostaniesz o co prosisz, jeśli wieści okażą się istotnie ważne.

Cygan rzucił się znowu na ziemię i zaczął ją całować, wołając:

— O, bodaj wszędzie, gdzie po tej ziemi stąpniesz, panie, szczęścia zdrój dla ciebie wytryskał... Niech skały na cześć twoją hymny śpiewają... Wielki wojowniku, ja nędzny robak, przynoszę ci wieści, które ci mogą być wielce ważne...

— Mów! — rozkazał zniecierpliwiony Müller—możesz być pewnym, że słowa mojego nie złamię, otrzymasz, o co prosisz... Johan, przygotuj mu pismo, o które prosi...

Astrolog usunął się w kąt namiotu, aby spełnić polecenie jenerała.

Cygan mówił:

— Jasny panie, Jan Kazimierz, król polski, wyruszył ze Śląska, gdzie był uciekł i siedział w klasztorze Oliwskim... Na czele zbrojnych zastępów wraca i już zaszły krwawe bitwy z wojskiem najjaśniejszego króla i pana naszego...

Müller porwał się z fotela.

— Na szatana, to ważna nowina... ten buntownik, ten król-mnich wraca... Johan, słyszysz?... To nie może być prawdą... Skąd masz te wieści?...

— Ludzie, wierni klasztorowi Jasnogórskiemu, otrzymali je w tajemnicy wielkiej od zakonników klasztoru Oliwskiego. Mają oni dać znać załodze jasnogórskiej, żeby się broniła do upadłego, bo król Jan Kazimierz wraca... Wódz zgrai buntowników Czarnecki, rozbił wojsko króla naszego i pana, gromadzi dokoła siebie tysiące chłopstwa i różnej gawiedzi... Ma się połączyć z królem Kazimierzem...

Müller poczerwieniał, żyły wystąpiły mu na czoło i kark gruby.

— Daj mi tych ludzi, którzy te wieści przynieśli... O tem w klasztorze wiedzieć nie powinni... To doda im ducha... bronić się będą do upadłego... Na szatana, wydaj mi tych ludzi...

— Wydam ich jasny jenerale, ale niech dusza moja nacieszy się waszem pismem, które mi bezpieczeństwo życia i mienia zapewni...

— Johan, daj pergamin... już napisałeś?...

— Napisałem..

I zataczając się astrolog podał żądane pismo Müllerowi.

Ten podpisał je, złożył i oddał Cyganowi.

— O, bodaj niebo wszystkie swe łaski na was zlało, dostojny panie!... — dziękował Wukosz.

Ale Müller kopnął go nogą i krzyknął groźnie.

— Nazwisko człowieka, który te wieści otrzymał i ma je podać klasztorowi?...

— Jacek Brzuchański, mieszczanin tutejszy. Dom jego stoi tuż przy murach kościoła Ś-ej Barbary... Hrabia Wrzeszczewicz zna tego człowieka....

Müller uderzył w stół pięścią i zawołał:

— Warta!...

Wszedł oficer dyżurny.

— Jacka Brzuchańskiego dajcie mi tutaj... Dom jego otoczyć... Niech żywa dusza z niego nie wyjdzie... Samego Brzuchańskiego okuć w kajdany i zaraz tutaj przyprowadzić... Ten Cygan wskaże dom jego!... Rozciąć mu więzy, otoczyć opieką... Niech włos z głowy tego człowieka nie spadnie. On wam wskaże Brzuchańskiego...

Oficer, salutując, wyszedł wraz z Wukoszem.

Müller porwał się za głowę po ich wyjściu.

— Ot, wiadomość... — krzyknął z rozpaczą. — Jeszcze mi tu ten dyabeł Stefan Czarniecki wpadnie na kark, do buntu nakłoni hufce polskie, wierne najjaśniejszemu panu. Jutro musimy zdobyć ten kurnik... Słyszysz, Johan, jutro zburzymy ten klasztor lub niezwyciężona armia szwedzka wstydem się okryje...

— Rzucajmy zaklęcia! — mruknął Johan.

Wtem zgiełk jakiś go dobiegł z zewnątrz namiotu.

— Co tam takiego? — zapytał, wychylając się nazewnątrz.

— Jaśnie wielmożny graf Wrzeszczewicz — odrzekł żołnierz stojący na warcie — szedł do waszej dostojności, spostrzegł Cygana, który z namiotu wyszedł i chciał go zabić, ale Cygan zrobił jakieś ważne zeznanie, bo hrabia wnet rzucił mu kieskę złota i puścił go wolno.

W tej chwili ukazał się hrabia.

— Chciałeś zabić Cygana? — zapytał Müller.

— Tak—odparł niedbale Wrzeszczewicz—bo miałem z nim rachunki, ale spłacił mi je... Dał mi wiadomość, gdzie się kryją pewne białogłowy, które do mnie należeć muszą!... Zaraz po nie po raz już drugi poślę ludzi moich...

Müller rubasznie się roześmiał i po chwili obaj z Wrzeszczewiczem weszli do namiotu.

ROZDZIAŁ XVII.

Zaledwie Grześ z Zapałą po owem zniknięciu w głębi boru Wukosza, weszli do groty, gdy w ciemnej jej głębi zamajaczyło jakieś słabe światełko, i szybko zaczęło posuwać się ku nim.

— Usuńmy się! — przestrzegł Zapała — może to ten bies Zaklika lub jego ludzie...

— Zapóźno!—odrzekł szeptem Grześ—znajdą nas... Z chęcią sam oddam się w ich ręce... Cóżem wart, jeśli nie zginąłem w obronie tych niewinnych, którzy są teraz ofiarami zbrodniarzy?... w mocy straszliwych ludzi?...

— A toś desperak!... Ja inaczej myślę... Usuńmy się!...

Ale Grześ nie usłuchał jego rady i porwał się naprzód, z jękiem jednak opadł na skalisty grunt groty. Upływ krwi z rany i walka niedawna z ludźmi Wrzeszczewicza osłabiły go.

Wówczas objęła go bezmierna żałość.

— Jestem jako drzewo ścięte... powalony, obezwładniony...

Z szybkością błyskawiczną ujrzał w wyobraźni sponiewierane, zdeptane przez wrogów obie panie Janowickie i starca plebana; widział szatański tryumf Zakliki i dreszcz go przejął śmiertelny.

— Ratować ją... chociaż ją jedną... taką młodą... taką słoneczną... ratować!...

Ale pobladłe jego usta—nie mogły już wymówić słodkiego imienia Jadwigi; zbyt wiele przecierpiał, zbyt straszliwy był cios, zbyt okrutna wiadomość, którą mu rzucił uciekający Wukosz.

Gdyby miał siły, zaraz rzuciłby się na ratunek tych tyle drogich istot.

Nadaremnie!... Ołowiana niemoc objęła go i skuła, jakby żelaznemi kajdany. Bezsilnym jest wtedy, kiedy pragnąłby dęby wyrywać, opoki wzruszać i walić na głowy zbrodniarzy, na głowy tych, dla których nic niema świętego.

Mrok, ciemność, noc go ogarnia...

Nagle jasność oblała znużone jego powieki.

Otworzył oczy.

Sen-że to, czy jawa?... A może dusza jego już opuściła doczesną powłokę i znalazła się u wrót niebios?

— To ona!... Jadwiga...

Nie jest-że on ofiarą gorączką wywołanego widziadła, osłabieniem zmysłów?

Szeroko otwartemi źrenicami patrzy w twarz jego ona... Trwogą przepełnione są te oczy, ale dla niego błyszczą jak gwiazdy.

Oprzytomniał, dźwignął się, podniósł ręce do czoła.

— Tak... to rzeczywistość...

Tuż przed nim, pochylona ku niemu, z łuczywem w ręku, stoi panna Janowicka, w ubraniu prostem Cyganki.

— Niech będzie pochwalona Matka Boża, że oglądam was przy życiu — rzecze do Grzesia.—Ranni jesteście?... O, mój Boże!...

On przysłonił ręką oczy, w których zajaśniało szczęście i błogość niezmierna.

— Żyw jestem — odrzekł — i żyć pragnę!...

— Ale zranionym jesteście!..

— Za nic mi teraz rany i męczarnie! — szepnął Grześ, wpatrując się w pełne dlań tkliwości oczy panny Janowickiej. — Ale na Boga żywego, gdzież jaśnie pani matka wasza?...

— Pod opieką ojca Łukasza, który wrócił i leki jej przyniósł... Jam was pobiegła szukać, boście wy jedynym naszym obrońcą... Bez waszej opieki, śmierć nas czeka w tych podziemiach... Znajdując was, ocalam życie mojej biednej matki.

— A Zaklika?... Więc Wukosz skłamał?... Nie napadł na was nikt w podziemiu?!...

— Nikt, tylko-m ja zamierała z trwogi o was... O, mój Boże! alеż ramię wasze — to jedna krwawa rana!... Powstańcie, pójdźcie, opatrzyć tę ranę muszę!...

— Nie czas na to, choć Bóg mi świadkiem, że ten opatrunek tyleby mi, co anielski znaczył... Wukosz wybiegł stąd niedawno i skłamał niegodziwie, że zbrodzień Zaklika był w grocie, że schronienie nasze odnalazł...

— Jako żywo kłamał!

— Ale w jakim celu?

— Aby was, jedynego naszego obrońcę, od nas odciągnąć i same bezbronne kobiety na pastwę straszliwego wroga zostawić...

— Bóg łaskaw, żem do groty wrócił... Rannym, omdlałem z bólu, ale gdybym był przy siłach, jak zwykle, już pędziłbym w stronę Częstochowy, w pościgu za tym psem Zakliką, a was, bezbronne białogłowy, i starca plebana zostawiłbym był tutaj na łasce złego losu...

Umilkł.

Na pobladłych licach panny Janowickiej odmalowała się rozpacz.

— Ostatnia nasza kryjówka zdradzona!—rzekła ze łzami w oczach.— Wukosz niebawem naprowadzi tutaj tego szatana w ludzkiem ciele — Zaklikę!... A jeśli nie jego, to równych jemu łotrów...

Grześ milczał, schmurzywszy czoło.

— Bóg tylko naszą ucieczką! — mówiła dalej panienka.

Wtem Piotr Zapała, dotychczas cicho w mroku groty stojący, poruszył się.

Jak ptak spłoszony panna Jadwiga do Grzesia przypadła.

— Kto to?... wróg może?...

Mówiąc to, chciała zgasić łuczywo.

Powstrzymał ją Grześ, mówiąc, że niema się czego lękać, że przy nich człowiek, którego Opatrzność dla ocalenia ich życia zesłała.

— Któż on taki?—zapytała, zbliżając się wciąż do Grzesia.

— Stary żołnierz, nazwiskiem Piotr Zapała... Ucieka od swoich, którzy Szwedom do zdobycia Jasnej-Góry pomagają.

— Niech go Matka Boża nagrodzi i szczęście ześle! — rzekła z uczuciem wielkiem panna Jadwiga.

Dosłyszał te słowa Zapała i widząc, że ma przed sobą panienkę zacnego rodu, a w nieszczęściu tak opłakanem, zbliżył się i do stóp jej się z pokłonem nizkim pochylił.

— Rozkazuj, jaśnie panienko!... Nie lękaj się, stary żołnierz przed tobą... Co mi sił starczy, bronić cię będę...

— Matka moja chora większej obrony, aniżeli ja potrzebuje... A i starzec ksiądz jest z nami...

— Wiem ci ja już o wszystkiem, dobra panienko... Bóg naszym opiekunem. Nie czas nam przecie na długie rozmowy... Wróg lada chwila na nas spaść może... uchodzić z tych miejsc musimy... Jesteśmy zdradzeni!... Szczęściem, że noc nadchodzi, a wśród ciemności zawsze łatwiejsza obrona...

— My stąd musimy jeszcze przed nocą uciekać! — rzekł Grześ z niepokojem w głosie. — Ten łotr Wukosz naprowadzi na nas całą zajadłą zgraję zbójców.

— Prawde-ś rzekł — potwierdził Zapała — uciekać stąd trzeba— jeno w którą stronę?..

— O, Boże Wielki, moja biedna matka! — westchnęła z trwogą panna Janowicka.

Ale Grześ ją uspokoił.

— Udamy się do pustelni ojca Łukasza... o ćwierć mili stąd... nie tak daleko... tam nikt nas nie odnajdzie... Nowego Judasza, podobnego do Wukosza, niema między nami...

— Bóg wam tę myśl zesłał — rzekła panna Janowicka — pustelnik zna się na lekach... Wyleczy matkę moją i wyleczy was, bo rana wam pewnie dolega.. Pozwólcie, że wam ją chociaż od zimna i wiatru osłonię...

Co rzekłszy, szybko zdjęła z głowy chustę i nią otuliła zziębłe, krwawą raną okryte ramię Grzesia.

Błogie uczucie oblało twarz rannego.

— Toć wam, jasna panienko, zimno będzie — rzekł, spoglądając w pochylone ku sobie lica panny Janowickiej.

— Nic to! — odrzekła, pomagając mu powstać — wyście omal dla nas życia nie postradali... Możecież iść ze mną?... — pytała z przedziwną tkliwością w głosie.

— Mogę... wstąpiła we mnie moc, jakiej dotychczas nie czułem — odparł Grześ wzruszony.

W kwadrans później ścieżynami leśnemi w stronę Olsztyna prowadzącemi, do ukrytej u podnóża skalistej góry pustelni, zdążała gromadka ludzi.

Na noszach, z gałęzi na prędce złożonych, nieśli chorą niewiastę.

Dziwny to był orszak, podobny do tych, jakie podczas prześladowania pierwszych chrześcijan, za czasów pogańskiego Rzymu, do ponurych katakumb się chroniły.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



Historya illustrowana Kościoła Świętego

RZYMSKO-KATOLICKIEGO

w obrazach i życiorysach.

Skoro Piotr przystąpił do udzielania Ciała Pańskiego, Marya prosiła go, aby część Hostyi Przenajświętszej zachował osobno, przyjmie Ją bowiem później nieco, jako Wiatyk (Komunię umierających). Uczynił tak Piotr, następnie udzielać zaczął Ciało Pańskie zgromadzonym wiernym. Marya zaintonowała wówczas ulubiony psalm Swój: „Wyznawajcie Pana, ponieważ dobry, ponieważ na wieki miłosierdzie Jego.“ Wnet wierni podchwycili pieśń i śpiewali ją długo, powtarzali kilkakrotnie, bo udzielanie Komunii, z powodu niezmiernie licznego napływu wiernych, długo trwało. Po rozdaniu Komunii, Piotr przemówił do zgromadzonych. Mówił łkając, gorącemi słowy pobudził wszystkich do naśladowania, wedle możności, cnót najwyższych, jakiemi zawsze Marya jaśniała, oddał chwałę Maryi, wreszcie prosił Ją o błogosławieństwo dla siebie, dla obecnych, dla Kościoła całego, polecał się, wraz z całą trzodą, jego pasterstwu powierzoną, Jej miłosierdziu i opiece z nieba.

Po Mszy Ś-ej, Bogarodzica zwróciła się do otaczających Jej łoże Apostołów i niewiast świętych, które od dłuższego czasu wciąż z Nią przebywały:

— Ukochani moi! — rzekła z niewypowiedzianą słodyczą. — Z miłości ku wam, abym was wspierała radą, Syn mój a Bóg nasz zostawił mnie na ziemi. Teraz, gdy nauka Jego krzewi się bujnie po świecie, On, widząc, że mój pobyt na ziemi nie jest już koniecznym, litując się nad tęsknotą, jakiej za Nim doznaję, zabiera mnie do Siebie. Ale wy

w pracy około rozszerzania chwały Jego nie ustawajcie. Odchodzę od was, lecz sercem zawsze pośród was będę przebywała; odchodzę do krainy rajskiej, gdzie ustawicznie będę orędowała za wami.

Apostołowie i niewiasty z płaczem wielkim wołać poczęli:

— O, Maryo! o, Pani! o, Matko nasza! tedy już nas opuszczasz... Nie tajnoć nam, miarkujem to dobrze, iż ziemia nie jest godna, żebyś na niej zostawała, oraz, iż myśmy też niegodni zaszczytu posiadania Matki Boga Najwyższego pośród nas. Pomnij jednak, iżeś także matką naszą. Wszystkim dla nas byłaś: i światłem, i radą w zwątpieniu, i pociechą w strapieniach, i umocnieniem w chwilach prześladowania... Teraz chcesz nas opuścić, chcesz nas wsparcia Twego pozbawić, gdy tyle czyha na nas wrogów, gdy nas czekają trudne z szatanem utarczki? Utracilim już Mistrza, Syna Twego, któren wstąpił na niebiosa, aby zasiąść po prawicy Boga, Ojca Swego; Twoja, o, Matko, obecność była jedyną po Nim pociechą naszą: czyżbyś tedy miała nas sierotami zupełnymi zostawić? O, Pani! albo z nami pozostań, albo weź nas z Sobą...

Marya zaś na to:

— Dziatki moje najmilsze, nie takać wola Pana; trzymajcie się pilnie tego, co Jemu się podoba ze mną i z wami uczynić. Zostać musicie na ziemi, aby szerzyć chwałę Zbawiciela, aby nabyć tyle zasług, ile wam Bóg przeznaczył za nie nagród w niebiesiech. Odchodzę od was dlatego, żeby w niebiesiech tem skuteczniej wspierać was u Boga orędownictwem i pośrednictwem mojem. Ostańcie w pokoju. Kościół Święty wam polecam, dusze odkupione krwią Syna mojego wam polecam — toć jest ostatnie moje z wami pożegnanie, toć pamiątka, jaką wam po sobie zostawuję. Jeśli mnie miłujecie, spełniajcie wiernie te moje zalecenia: pracujcie nad zbawieniem dusz ludzkich, pracujcie na chwałę Syna mego. Nadejdzie czas, kiedy wszyscy społem najdziem się w niebie, aby się nigdy nie rozłączyć.

Umilkła Bogarodzica, po chwili skinęła na Jana i prosiła go, aby po Jej śmierci, dwie suknie, stanowiące całe Jej mienie, oddał jedną dziewicy Rode, drugą zaś innej dzieweczce świętej, która od lat kilku przy Niej przebywała. Wyraziwszy to życzenie, znów umilkła.

Cisza zaległa Wieczernik i krużganki domu, ale przerywały ją tłumione łkania i jęki. Po chwili do łoża Maryi zaczęli się zbliżać wierni, kornie błagając o błogosławieństwo. Nie odtrąciła nikogo Marya: najmiłościwiej przemawiała do każdego, — każdego Bogu polecała i żegnała. Piotra przywołała naostatku: tego błogosławiła w sposób szczególny, jako zastępcę Jezusa na ziemi, zalecała mu baczną straż nad wiarą świętą, przyobiecała opiekę Swoją z nieba. Wszelako najtkliwiej pocieszała Jana, wiedziała bowiem, że on najboleśniej odczuje

rozłąkę z Tą, którą mu Jezus, umierając na krzyżu, za matkę polecił. Mówiła do niego:

— Janie najmilejszy! dziękujęć za wszystko, coś dla mnie czynił, pewnym bądź, iż ci się odwdzięczę. Idę modlić się za ciebie w niebiesiech, gdzie cię oczekiwać będę. We wszystkich potrzebach swoich wzywaj mnie, nie omieszkam cię wspierać. Błogosławię cię, pokój niech ci da Pan, żegnaj...

Chwila zgonu się zbliżała, wszyscy poklękli, a Marya wzniosłszy dłonie, donośniejszym głosem rzekła:

— Błogosławię was wszystkich, dziatki najmilejsze, błogosławię wiernych, obecnych tu i nieobecnych, teraz i do skończenia świata żyć mających, proszę Syna mego a Pana naszego Jezusa Chrystusa, aby to błogosławieństwo utwierdził, aby je rozciągnął nawet na grzeszników, którzy pragną się nawrócić, aby ich łaską Swoją do Siebie pociągnął...

Zmierzch zapadał. Marya dała znak Piotrowi, iż czas, aby Jej podał Wiatyk Ś-ty. Obecnym rozdano gorejące świece, Piotr szaty kapłańskie przywdziawszy, wziął z ołtarza Hostyę Przenajświętszą i poniósł Ją Maryi. Wszyscy upadli twarzą do ziemi, Marya zaś, dłonie złożywszy, te powiedziała słowa:

— Synu mój i Boże! w ręce Twoje oddaję moją duszę, którąś z dobroci Twojej stworzył i tylu łaskami wzbogacić raczył od pierwszej chwili Jej istnienia, a przywilejem jedynym uchowałeś od wszelakiej skazy. Zatem nie moje, lecz Twoje dzieło Tobie oddaję. Przytem polecam Ci też ciało moje, z którego raczyłeś wziąć Swoje ciało i krew Swoją. Polecam Ci jeszcze te dziatki najmilsze moje, uczniów Twoich i wszystkich tu obecnych. Strapieni zostaną odejściem mojem, racz ich pocieszyć, racz błogosławić ich trudom apostolskim, obdarz ich mocą dokonywania wielkich dzieł na chwałę Twoją. Wreszcie polecam Ci, Synu mój i Boże, cały Twój Kościół, teraz i do końca świata istnieć mający; polecam wszystkich grzeszników Twemu nieprzebranemu miłosierdziu.

Uniosła się nieco na posłaniu, aby przyjąć podawany przez Piotra Wiatyk, naraz światłość wielka napełniła dom cały: to Pan Jezus, otoczony niezliczonem mnóstwem Chórów Anielskich zstąpił z nieba, wziął od Piotra Przenajświętszą Hostyę i podał Ją Maryi, mówiąc:

— Matko, przyjmij z własnych rąk moich Ciało i Krew, któremiś mnie obdarzyła.

Przyjąwszy Komunię, Marya skrzyżowała ręce na piersiach, przez czas pewien zostawała w skupieniu. Zaczem zwróciła oczy ku niebu i przecudnym głosem zanuciła hymn:

— „Wielbij duszo moja Pana...“

Chóry Anielskie wnet podjęły pieśń, ku zdumieniu wszystkich obecnych, Marya zaś, mocniej się wsparła o żłobek betlehemski; w tej

samej chwili Przenajświętszą Jej Duszę, wychodzącą z ciała, sam Pan Jezus przyjął na ręce Swoje, następnie podał Archaniołowi Michałowi, który wszystkich błogosławionych do nieba wprowadza...

Chóry Anielskie długo jeszcze brzmiały w powietrzu, lecz coraz ciszej a ciszej, wreszcie ucichły zupełnie, stref nieba dosiągłszy. W Wieczerniku panowało głuche milczenie, nikt z obecnych poruszyć się nie śmiał, słowem odezwać; wszyscy, z zapartym w piersiach oddechem, patrzyli na błogosławione zwłoki Maryi, nie zdradzające najmniejszego śladu śmierci. Zdało się, iż Marya znajduje się w niebiańskiem zachwyceniu. Spoczywała z rękoma skrzyżowanemi na piersiach, z wzniesioną do góry twarzą, na której malowały się spokój, słodycz i radość nadziemska. Głowę miała wspartą o tron Boskiego Swego macierzyństwa, o żłobek betlehemski.

Nie śmiano się dotknąć Zwłok Przenajświętszych, zostawiono je w takiem położeniu, w jakiem nastąpiło uśnięcie: na ubogiem łożu, pośrodku Wieczernika. Wierni zbliżali się do łoża, całowali stopy Bogarodzicy, a chociaż zgromadzenie było bardzo liczne, nic nie zamąciło uroczystego nastroju chwili. Niebawem Apostołowie obstawili łoże rzęsistem światłem, a niewiasty i dzieweczki przystroiły zwłoki najpiękniejszem kwieciem. Posłanie całe okryły liliami.

Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz. Jan zajął się niezwłocznie wyszukaniem miejsca na grobowiec. Pragnął bardzo, aby zwłoki Matki mogły spoczywać jak najbliżej grobu Syna. Tak się stało — bo oto odnalazł, w dolinie Józefata, w ogrodzie Getsemańskim, miejsce właściwe i tam przygotował skromną, lecz płytami kamiennemi wymoszczoną mogiłę dla Bogarodzicy.

Apostołowie i niewiasty święte noc całą spędzili w Wieczerniku, przy zwłokach. Oprócz nich czuwały przy niepokalanem ciele Straże Anielskie. Nie widziano ich wprawdzie, lecz słyszano ich głosy cudne, rozbrzmiewające w powietrzu.

Nazajutrz wielotysięczny orszak żałobny prowadził Jan do przygotowanego grobowca, tak bowiem rozporządził Piotr, słusznie wymiarkowawszy, iż ostatnią posługę ciału Bogarodzicy winien był oddać ten, któremu Zbawiciel w sposób szczególny polecił nad Nią pieczę. Kroczył tedy Jan na czele orszaku, w ręku trzymając oną różdżkę cudowną, którą Archanioł Gabryel doręczył Maryi na górze Oliwnej, gdy Jej zwiastował rychłe odejście do nieba. Inni Apostołowie nieśli Przenajświętsze Zwłoki, zaś przed Apostołami postępowało mnóstwo dzieweczek w bieli, sypiących kwiaty na drogę. Za zwłokami dążyły tłumy wiernych. Szedł on orszak — opowiada Ś-ty Jan Damasceński — a towarzyszyły mu głosy cudne Aniołów, wywodzących wspaniałe pienia. Głosy te bądź poprzedzały orszak, bądź nad nim rozbrzmiewały. Prócz

Chórów Anielskich, wielka liczba innych Duchów Niebieskich otaczała ciało Bogarodzicy, odbywając straż nieustanną, póki go do nieba nie uniosą. Wierni zaś, ze świętą bojaźnią, z miłością pełną czci najgłębszej, z rzewnem weselem, prowadzili tę prawdziwą Arkę Przymierza Pańskiego.

Orszak schodził z góry Syońskiej, naraz zbliżył się ku niemu tłum Żydów nienawróconych. Jeden z pomiędzy nich, wróg zawzięty chrześcijan, dowiedziawszy się, iż to pogrzeb Matki Jezusa, jął wołać bluźnierczo:

— Jakże to może być, iżby takiej chwały doznawała Matka Tego, któren naród nasz buntował i na śmierć haniebną skazany został?!

Tak wrzeszcząc, rzucił się zapamiętale ku orszakowi, z zamiarami znieważenia zwłok. Ledwie jednak dotknął wieka, coś dziwnego się stało: obydwie ręce zapamiętalca oderwały się od tułowia i zawisły przywarte u trumny, on zaś stał osłupiały, bez rąk. Wreszcie pada na kolana, wołając z przerażeniem i rozpaczą:

— Hej! wy, co wyznajecie w Chrystusie Mesyasza, ratujcie mnie!

Orszak zatrzymał się, a Piotr rzekł do szaleńca:

— Nie w naszej mocy dać ci ratunek. Wszelako, jeśli z całego serca uwierzysz w Pana naszego Jezusa Chrystusa, którego w niepokalanem łonie nosiła Dziewica, przez ciebie bluźnierczemi wyrazy znieważona, miłosierdzie Pańskie, nie mające granic, za wstawieniem się właśnie Tej Dziewicy-Matki, wypraszającej zbawienie najniegodniejszym nawet, uzdrowi cię.

Na to bluźnierca:

— Wierzę, wierzę w Jezusa i w Matkę Jego, lecz błagam, ulituj się nade mną. Straszliwie cierpię... Czuję, że ból zabije mnie!

Wówczas Piotr, stając obok trumny zawołał.

— Zbliż się do Przenajświętszego Ciała, ucałuj wieko i powtarzaj za mną: „Wierzę w Boga, i Syna Jego jedynego, Jezusa Chrystusa, urodzonego z Maryi-Dziewicy, której tu ciało niosą; wierzę we wszystko, co mi Piotr powiedział.“

Bluźnierca uczynił, wedle rozkazania Piotra, wnet też ręce do ciała mu przyrosły. Zdumiony, uradowany, jął oddawać chwałę Jezusowi i głosić z zapałem wielką świętość Matki Jego.

Oczywiście, że cud ogromne wywarł wrażenie. Wielu z płaczem rzuciło się na trumnę, całowało ją ze czcią największą, wzywając ratunku Maryi w różnych potrzebach. Jakoż mnóstwo chorych zdrowie wtedy odzyskało.

Gdy się wreszcie tłum uspokoił, orszak żałobny ruszył dalej i już bez przeszkody dotarł do grobowca. Po złożeniu ciała w mogile, postanowiono, iżby przez czas pewien po czterech Apostołów czuwało na zmia-

nę przy Świętych Relikwiach. Czuwali tedy Apostołowie, zmieniając się kolejno, a towarzyszyły im niewiasty święte i rzesze wiernych, tak, że grobowiec był jakby oblężony. Chóry i Straże Anielskie również nie odstępowały grobowca, bo wciąż pienia cudne nad nim w powietrzu rozbrzmiewały. Tak przeszło dwa dni. Dnia trzeciego pienia brzmiały rozgłośniej i radośniej, ale naraz zaczęły cichnąć, jakby oddalając się ku górze, w końcu wcale już ich słychać nie było. Zastanowiło to wszystkich, nikt nie mógł tego zjawiska wytłomaczyć.

Właśnie wtedy przybył do Jerozolimy Ś-ty Tomasz. Jak zaznaczyliśmy wyżej, on jeden tylko z żyjących Apostołów nie był obecnym przy uśnięciu Bogarodzicy. Mocno się frasował, iż nie mógł uczcić Zwłok Przenajświętszych Maryi, a Piotr widząc, iż strapienie jego jest wielkie, kazał otworzyć grobowiec, aby mógł złożyć hołd upragniony Relikwiom. Wiadomość o otwarciu grobu sprowadziła mnóstwo wiernych, każdy bowiem pragnął dostąpić pociechy oglądania raz jeszcze słodkiego oblicza Bogarodzicy. Otworzono trumnę, lecz zdumienie i smutek ogarnęły wszystkich, gdyż w trumnie ciała nie było, jeno całun, a na nim wiele prześlicznych kwiatów, woń cudną wydających. Wszyscy stali przez chwilę w osłupieniu. Gdzie się podziały zwłoki? Dopieroż Piotr, Duchem Świętym natchniony, wzniósł oczy i dłonie do góry, wołając z uniesieniem radosnem:

— Wzięta do nieba jest Marya, weselą się Anieli, chwaląc, błogosławią Pana!

A cała rzesza, padając na kolana, jęła zawodzić hymn:

— Marya Dziewica wzięta jest do niebieskiego przybytku, gdzie Król królów na gwiaździstym zasiada tronie...

Niedowierzanie Tomasza w tajemnicę zmartwychwstania Pańskiego sprawiło, iż Jezus, aby go o tem przekonać, blizny ran Swoich mu okazał i tym sposobem prawdziwość Swego powstania z grobu tem wyraźniej objawił. Również spóźnienie się tego Apostoła na pogrzeb Bogarodzicy sprawiło, iż cudowne Jej zmartwychwstanie i wniebowzięcie, jawnem dla wszystkich się stały.

Opis zdarzeń cudownych zakończymy prześliczną, rzewną modlitwą do Maryi, wyjętą z pism ks. Skargi:

„Witamy Cię, Królowo Niebieska, Matko miłosierdzia, przez którą nam Bóg miłosierdzie Swe i Syna Swego zesłał, któraś żywot nasz porodziła i słodkością się nam w przykładzie wszystkich cnót i nadzieją naszą w przyczynie Twej przemożnej stała. Do Ciebie, jako zdani na śmierć od Króla, do Królowej się i płci niewieściej uciekając, wołamy my, wygnani z natury synowie nieszczęsnej Ewy, która nam ojczyznę naszą niebieską utraciła, wołamy do Ciebie, wtórej i szczęśliwej Ewy, Matki prawej żyjących, któraś nam wszystko w Synie Twoim przywró-

siła. Do Ciebie na tym padole płaczu wzdychamy, z tej nędzy, którąś będąc tu z nami znosiła. Pośredniczko nasza, nie w odkupieniu, jako Syn Twój, ale w przyczynieniu do Niego, gdyżeś Ty jest nad wszystko inne stworzenie Jemu najbliższa, oczy one miłosierne, które nigdy na nędzę ludzką bez politowania patrzeć nie mogły, obróć na nas, a błogosławionego Jezusa, owoc żywota Swego, daj nam kiedy widzieć. O łaskawa, o miłosierna, o przesłodka Marya! W Tobie Bóg w Trójcy Jedyny pochwalony jest, przez Cię miłosierdzie i sława Jego słynie na wieki wieków. Amen."

Gdy się wypełnił czas Jej pielgrzymki, z nieba Anioły zleciały w posły i dla strudzonej żywotem duszy parę najlżejszych skrzydeł przyniosły. Kiedy do grobu ciało złożono, z rozkoszy ziemskie zadrżało łono, lecz niebo ziemi skarb jej wydarło, wzięły Anioły z grobu wskrzeszoną. Z grobu Maryi woń z blaskiem bije, a zamiast ciała same lilije. Od samych lilij grób Jej się bieli, przy grobie klęczą w modłach Anieli, a ziemia śpiewa pieśń nieustanną: — Błogosławionaś, Maryo Panno!



Nowiny z Częstochowy.

Urna z popiołami ks. Augustyna Kordeckiego. Niestrudzony w swych pracach dla dobra klasztoru Jasnogórskiego przewielebny ksiądz przeor Rejman świeżo rozkazał zbadać podziemia pod kaplicą Matki Boskiej, do których wejście oddawna było zapomniane. Okazało się, że w pod ziemiach tych przechowane były urny gliniane, łokciowej co najmniej wysokości, z napisami, czyje zawierają prochy. Na jednej widnieje wyryty napis: Prochy księdza Augustyna Kordeckiego, na innych, inne nazwiska różnych dostojników kościoła. Urn znaleziono znaczną ilość. Czcigodny ksiądz przeor Rejman niebawem poda do wiadomości ogółu wyczerpującą w tej doniosłej sprawie wiadomość, jest on albowiem żywą kroniką klasztoru i żaden szczegół z dziejów jego niejest mu obcy.

Budowa wieży. Najpiękniejsza część wieży mianowicie jej podcienia (arkady) górne ukończono. Pozostała część ośmioboczna, stanowiąca zakończenie murowanej wieży, w przyspieszonem tępie zbliża się ku końcowi. Ze względu na kilko-metrową już tylko wysokość, jest nadzieja, że roboty murarskie i kamieniarskie ukończone będą przed zimą, tak, że w tym jeszcze roku rozpocznie się ustawienie konstrukcyi żelaznej. Obecnie właśnie wmurowują się potężne ankry żelazne 10,80 metrowej długości, które usztywnić mają i wzmocnić spód konstrukcyi żelaznej, łącząc ją z kamienną. Część już z Warszawy zwieziono na miejsce, a przedstawia się imponująco.

Życzyć tylko należy, ciepłej i pogodnej jesieni, by tak pomyślnie, bez wypadków i nieszczęść postępujące roboty, dobiegły szczęśliwie do kresu, co niechaj się stanie za przyczyną Panienki Jasnogórskiej.

Kompania z Zagórza i Niwki, dekanatu będzińskiego, dyecezyi kieleckiej Przed paru laty wzniesiono w Niwce nowy kościół. Kościół ten, z należącą do niego dziewięciotysięczną ludnością, stanowi filię parafii Zagórskiej, aczkolwiek wkrótce już zapewne utworzona będzie w Niwce oddzielna parafia.

W d. 4 września przybyła z Zagórza na Jasną-Górę w wspaniałym orszaku kompania; były to właściwie dwie połączone kompanie z wyżej wymienionych miejscowości. Parafia Zagórska, jako macierz przyprowadziła przed oblicze Bożej Rodzicielki swą córę dorastającą — filię Niwecką, prosząc o błogosławieństwo dla niej na samodzielną już wkrótce dalszą drogę życia. Przewodniczył pątnikom ksiądz Mazur, wikaryusz parafii Zagórze, i obsługiwał pielgrzymów na Jasnej-Górze wraz z księdzem Fr. Golą kapłanem z Niwki.

Kompanii towarzyszyła bezinteresownie dobrze zgrana orkiestra kopalni Niwka, składająca się z 24 muzykantów; orkiestra ta wprowadzała w dniu 5 września przybywającego na Jasną-Górę Jego Ekscelencyę księdza biskupa Stanisława Zdzitowieckiego. Chór kompanii, składający się z 36 śpiewaków, przez trzy dni śpiewał w Cudownej Kaplicy podczas Mszy Świętych pod batutą organisty p. Żyłki.

Dla upamiętnienia tegorocznej pielgrzymki, uczestnicy jej oprócz wielu mniejszych ofiar, złożyli większe dobrowolne ofiary na upiększenie swoich kościołów. Wieloletnia gorliwa praca w parafii Zagórskiej Czcigodnego proboszcza ks. Dotkiewicza pozostawiła ślady widoczne wyrobienia religijnego parafian;—nadto wybudowaniem wspaniałej, w stylu gotyckim, nowej świątyni, ks. Dotkiewicz postawił sobie trwały i cenny pomnik, który będzie przypominał następnym pokoleniom o jego energii w dobrem i ofiarności.

Jubileusz pięćdziesięcioletni ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Dobrzy katolicy, czciciele Najświętszej Maryi Panny, z radością przyjmą wiadomość o uroczystości niezwyczajnej, jaką Kościół nasz święty ma obchodzić w roku przyszłym 1904.

W r. 1854 Kościół święty oznajmił publicznie wszystkim wiernym, że wiara w Niepokalane Poczęcie Matki Bożej tkwiła w sercach wiernych od założenia Kościoła Chrystusowego; — stwierdził, że wiara ta wyrażała się w modlitwach — ceremoniach kościelnych, w najdawniejszych obrazach i t. p.

W roku więc przyszłym upływa 50 lat od owego ogłoszenia dogmatu. Papież Leon XIII, gorący czciciel Maryi, za życia swego zarządził, aby Kościół święty w uroczysty sposób obchodził 50-letni jubileusz ogłoszenia Dogmatu Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny. Rozporządzenie to Ojca Ś-go streszcza się w następujących punktach:



Kompania z Zagórza, dyecezyi kieleckiej, u stóp Jasnej-Góry.

W roku 1904, w bazylice Ś-go Piotra i Maryi Maggiore w Rzymie, odbywać się będą specyalne nabożeństwa. Odbędzie się w Rzymie kongres Maryański. Przy bibliotece watykańskiej w Rzymie będzie założony oddział, składający się z dzieł i różnych publikacyj ku czci Matki Bożej. Będą urządzane specyalne missye w r. 1904, przygotowujące wiernych do obchodu tej uroczystości. Pierwsza Komunia Święta dla dzieci będzie obchodzona w roku przyszłym z większą niż zazwyczaj uroczystością. Będą urządzane osobliwe dla katolików rekolekcye, oraz pielgrzymki do miejsc świętych w rozmaitych krajach. Od 8-go grudnia tego (1903) roku rozpoczną się nabożeństwa i będą się powtarzały każdego 8-go dnia w każdym miesiącu, aż do 8-go grudnia 1904 r. Osobne nabożeństwa za dusze w czyscu i wyjątkowe czyny miłosierne. Nabożeństwo w kościele Ś-go Wawrzyńca w Rzymie za świętej pamięci Ojca Ś-go Piusa IX. Osobne nabożeństwa na cześć wizerunków Maryi Panny w katakumbach. Prócz tego wszystkiego będą mogli wierni w gorliwości swej obmyślać różne inne sposoby ku uczczeniu Matki Najświętszej, ale obowiązani są wszystkie swoje projekta przedstawić do zatwierdzenia Władzy Duchownej.

Nasz kraj zawsze odznaczał się wyjątkowem nabożeństwem do Najświętszej Maryi Panny — mamy kościoły pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej — mamy modlitwy, pieśni — obrazy i dawne dzieła odnoszące się do Niepokalanego Poczęcia. Cały świat katolicki będzie składał w Rzymie w bibliotece watykańskiej wszystko, co tylko będzie dotyczć Bogarodzicy — więc i my nie pozostajmy w tyle — odszukajmy stare obrazy i obrazki Matki Bożej — dawne modlitwy — pieśni — opisy bractw i różnych nabożeństw — medaliki, słowem wszystko, co ma związek ze czcią Matki Boskiej Niepokalanie poczętej.



Nowiny z daleka i z blizka.

Rok pierwszy panowania Jego Świętobliwości Papieża Piusa X.

= Sejm galicyjski, przed rozpoczęciem dorocznych czynności, postanowił jednomyślnie złożyć hołd Ojcu Ś-mu. Jakoż wysłano do Watykanu depeszę telegraficzną tej treści: „Sejm Królestwa Galicyi i Lodomeryi, z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, składa u stóp Waszej Świętobliwości hołd swojej wierności dla Kościoła, czci i posłuszeństwa dla Jego Głowy. W radości wielkiej, widząc Waszą Świętobliwość następcą tylu wielkich Papieży, życzy i pragnie gorąco, aby Bóg dał Waszej Świętobliwości w spokoju, w obfitości łask Swoich, w bezpieczeństwie od nieprzyjaciół, Kościołem Swoim długie rządzić lata. My, tak samo, jak przez wieki byliśmy zawsze wiernymi i nigdy Kościoła tego nie opuściliśmy, tak nadal i na wieki chcemy i przyrzekamy trwać w tej wierności i jedności, i być posłusznymi synami Namiestnika Chrystusowego.“ Na to tymczasowy sekretarz stanu Jego Świętobliwośći, Mery del Val, odpowiedział: „Ojciec Ś-ty łaskawie przyjął złożone Mu życzenia. Wysoko ceniąc objawione uczucia wierności i przywiązania, najmiłościwiej udziela błogosławieństwo obradom sejmu Królestwa Galicyi i Lodomeryi, z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.“

= Kardynał kamerlengo Oreglia został zatwierdzony w dotychczasowej godności; również cały dwór Papieża utrzymał dawniejszy skład osób, wybranych i mianowanych przez Leona XIII.

= Ze wszystkich stron świata nadchodzą do Watykanu depesze, z wyrażeniem hołdu, posłuszeństwa synowskiego, miłości i uległości,

oraz z prośbą o błogosławieństwo Jego Świętobliwości. Wobec nawału tych depesz, Ojciec Święty nie może żadną miarą na każdą odpowiadać oddzielnie; przeto dziennik papieski, „Osservatore Romano“, oznajmia, iż Ojciec Ś-ty przesyła tym wszystkim, którzy o Nim pamiętają serdeczne podziękowanie i błogosławieństwo.

= Posłuchań Jego Świętobliwość udziela każdodziennie. Jedni z najpierwszych przedstawili się kierownicy rzymskich czasopism katolickich, przedstawiciele znakomitych rodzin rzymskich, oraz biskup płocki, ksiądz Jerzy hrabia Szembek i arcybiskup Simon. Biskup płocki, po posłuchaniu, wysłał do księdza prałata Nowowiejskiego, zarządzającego dyecezyą płocką w czasie jego nieobecności, następującą depeszę: „Ojciec Ś-ty, na audyencyi, łaskawie i najmiłościwiej udzielił błogosławieństwo apostolskie Tobie, czcigodnej kapitule, duchowieństwu, alumnom i wiernym dyecezyi naszej. Błogosławieństwo to ogłosić należy w czasie Mszy Świętej.“

= Kardynał Mocceni przedstawił Jego Świętobliwości urzędników zarządu funduszami świętopietrza, a nazajutrz mieli zaszczyt być przedstawionymi urzędnicy innych wydziałów watykańskich. Znajdują się pomiędzy nimi mianowani jeszcze przez Piusa IX, poprzednika Leona XIII. Jego Świętobliwość dla każdego znalazł słowo uprzejme, nadmienił przytem, że długoletność ich służby jest rękojmią ich gorliwości i wierności. Gdy mu urzędnicy dziękowali za to, że podwyższył ich pensye, rzekł:

— Uczyniłem to chętnie. Nasi urzędnicy powinni być wynagradzani dobrze, aby nie mając ciężarów codziennej troski życia, mogli z całą gorliwością wypełniać obowiązki, a tym sposobem spółpracować dla dobra Kościoła i Papiestwa.

= Przedstawiali się Ojcu Ś-mu biskupi z Mantui, Padwy, Treviso, kapituła katedralna Ś-go Marka w Wenecyi, oraz kilkuset pielgrzymów z samej Wenecyi i prowincyj weneckich, z pomiędzy których wielu Jego Świętobliwość znał osobiście, jak naprzykład burmistrza z Riese, rodzinnego miasteczka Swego. Jego Świętobliwość ze szczególnem rozrzewnieniem przyjmował wenecyan, w każdem Jego słowie przebijała się tęsknota za ukochanem miastem i wolnością, gdyż tej jest obecnie pozbawiony, jako Papież, więc więzień Watykanu. Tu nadmienimy, że z objęciem Stolicy Apostolskiej przez Piusa X, patryarchat wenecki osierociał. Jego Świętobliwość pozostawia tymczasowo jeszcze przy sobie zarząd patryarchatu, a zastępuje go biskup Filadelfii, mgr Cavallieri.— Dalej udzielił Jego Świętobliwość audyencyi kierownikom misyj amery-

kańskich, pracujących w Urugwaju, Paragwaju i Peru. — Osobnego posłuchania dostąpił Nisard, poseł francuski przy Stolicy Apostolskiej. Wręczył on Ojcu Ś-mu list od prezydenta Francyi Loubeta. Ojciec Ś-ty powiedział mu, że żywi dla Francyi uczucia ojcowskie, uważając ją zawsze za pierworodną córę Kościoła.

= Irlandczycy, którzy mimo trzechwiekowego prześladowania, pozostają wierni Kościołowi rzymsko-katolickiemu, nie omieszkali złożyć hołdu nowemu Namiestnikowi Chrystusa. Wysłali tedy do Rzymu, w imieniu całego narodu, Tomasza Esmonde, męża niepospolitych zalet, godnego największego szacunku i zaufania. Ojciec Ś-ty głęboko był wzruszony holdem Irlandczyków, przyjął Tomasza Esmonda bardzo serdecznie, zapewnił go o Swojej życzliwości ojcowskiej dla Irlandyi.

= Pielgrzymi francuscy, udający się do Jerozolimy, przybyli do Rzymu i po zwiedzeniu pamiątek Wiecznego Miasta, uzyskali posłuchanie u Jego Świętobliwości. Papież rozmawiał z każdym z nich łaskawie, a następnie do wszystkich przemówił po francusku, nadmieniając, iż po raz pierwszy odważa się mówić publicznie tym językiem, że drży, jak dziecię, które zaczyna chodzić, więc ograniczy się na krótkich słowach. Jakoż zapewnił jeno pątników, iż Francyę kocha serdecznie i modli się też za nią codziennie; powiedział, że zazdrości im sposobności odwiedzenia Ziemi Świętej; zalecał, aby u grobu Zbawiciela pomodlili się za Niego, za Kościół i za ojczyznę swoją. W końcu udzielił pątnikom oraz ich rodzinom błogosławieństwo. Następnie zawezwawszy Ojca Wincentego de Paul Bailly, kierownika pielgrzymki, wypytywał go o rozmaite szczegóły. Pielgrzymi opuścili Watykan do głębi przejęci dobrocią i słodyczą Ojca Ś-go.

= Przybyły do Rzymu siostry Ojca Ś-go. Jego Świętobliwość przyjął je w prywatnych komnatach Swoich. Powitanie rodzeństwa było wzruszające. Sędziwe siostry rzuciły się do nóg ukochanego brata i Namiestnika Chrystusa, nie mogąc łez radości powstrzymać; Ojciec Ś-ty jednak podniósł je i po bratersku uścisnął. Rozmowa toczyła się w ludowem narzeczu weneckiem. Papież ubolewał, iż porzucić musi na zawsze strony rodzinne, pocieszał się zaś nadzieją, że często będzie mógł widywać się z siostrami, które zamieszkają w Rzymie.

= Ojciec Ś-ty już ogłosić raczył pierwszą encyklikę, zwróconą do biskupów katolickich. Obwieszcza w niej naprzód o Swojem wstąpieniu na Stolicę Piotrową, następnie przedstawia obecny stan Kościoła i odwołuje się do spółdziałania biskupów w Swoich usiłowaniach nad podnie-

sieniem i utrzymaniem ducha religijnego wśród ludów katolickich całego świata. Przy opracowaniu encykliki dopomagał Ojcu Ś-mu kardynał Satelli. Treść szczegółową tej encykliki podamy w następnym tomie „Dzwonka Częstochowskiego“. Tu nadmienimy jeszcze, że jednocześnie Jego Świętobliwość postanowił ogłosić dla całego świata katolickiego nadzwyczajny, kilkomiesięczny jubileusz, aby połączone modlitwy wszystkich wiernych sprowadziły na Jego rządy błogosławieństwo Boże.

= W ogrodzie, należącym do bazyliki lateraneńskiej, odbył się bardzo uroczyście akt położenia kamienia węgielnego pod pomnik, wznoszony ku czci Leona XIII, ze składek katolickich związków robotniczych. Ceremonii poświęcenia kamienia dokonał kardynał Ferrata, przy bardzo licznym spółudziale duchowieństwa, członków rzymskich związków robotniczych, z kapelą i chorągwiami, oraz przedstawicieli związków robotniczych innych krajów. Ojciec Ś-ty udzielił zebranym błogosławieństwa.

= Znane dobrze ogółowi, zwłaszcza wenecyanom, miłosierdzie Ojca Ś-go, już ujawniło się i w Rzymie; Jego Świętobliwość bowiem doręczył wielkiemu jałmużnikowi Swemu, mgrowi Constantiemu, 100 tysięcy lirów, dla ubogich Wiecznego Miasta. Jałmużnę polecił rozdzielić księżom proboszczom.

= Niedawno w Paryżu, wskutek pożaru na torze podziemnej kolei elektrycznej, przeszło sto osób w okropnych męczarniach życie utraciło. Ojciec Święty boleśnie odczuł ten straszny wypadek, niezwłocznie też na ręce arcybiskupa Paryża, kardynała Richarda, przesłał depeszę, ze słowami pociechy dla rodzin biednych ofiar. Depesza, podpisana przez tymczasowego sekretarza stanu, Mery del Vala, brzmiała: „Jego Świętobliwość modli się za spokój dusz ofiar wypadku, a rodzinom dotkniętym tak wielkiem nieszczęściem przesyła błogosławieństwo apostolskie błagając Boga o udzielenie im potrzebnych łask.“

= Krzywda się dzieje katolikom Polakom w Stanach Zjednoczonych i właśnie wysłali oni przed majestat Stolicy Apostolskiej korną prośbę, aby Następca Chrystusa ująć się za nimi raczył i władzą Swoją świętą wymierzył im sprawiedliwość. Jeden z uczestników poselstwa, ksiądz Kruszka, wyjaśnił krzywdę ową za pomocą pisma, w którem zostały przedstawione stosunki tamtejszych katolików Polaków. Osnowa pisma tego następująca:

Według spisów, sporządzonych w r. 1901, w Stanach Zjednoczonych mieszka 1 milion 902 tysiące 470 wychodźców polskich i ich potomków, urodzonych już na ziemi amerykańskiej. Większość z tej licz-

by przypada na stan (to jest na prowincyę) Illinois, w stanie tym bowiem mieszka 339 tysięcy 745 Polaków. Samo miasto Chicago, stolica stanu, posiada w 18 parafiach katolickich 175 tysięcy Polaków. Parafia największa, Ś-go Stanisława Kostki, liczy 50 tysięcy Polaków katolików. Tu zauważymy, że Polacy katolicy w Chicago dopuszczają się niewłaściwości, bo zamiast mówić: — Parafia Ś-go Stanisława, Ś-ej Anny, Ś-go Wojciecha, Ś-ej Trójcy — mówią: Stanisławowo, Kazimierzowo, Annowo, Wojciechowo, Trójcowo. — Niewłaściwość to, a nawet bluźnierstwo. W tymże stanie, również w ten sposób nazywają parafie w miejscowościach: Poznań, Sobieski, Radom, Gostyń.—W stanie Wiscousin mieszka Polaków 156 tysięcy 945. Główną ich siedzibą jest miasto Millwaukee, z siedmioma polskiemi parafiami, liczącemi 63 tysiące wiernych. Tu znów mamy parafie: Cyrylowo, Jackowo, Jadwigowo i tym podobne. W tymże stanie, lecz w innej dyecezyi, znajduje się miasto Berlin, z dwiema polskiemi parafiami, liczącemi 2 tysiące 750 wiernych, oraz znajdują się parafie polskie w miejscowościach: Pułaski, Kraków, Sobieski, Jennings, Polonia, Krak, Poznań, Poniatowski, Kopernik. W stanie Michigan mieszka 141 tysięcy 830 Polaków, głównie w miejscowościach: Detroit — 7 parafii z 44 tysiącami wiernych; Grand Rapiels — 2 parafie z 10 tysiącami wiernych; Bay-City — 10 tysięcy Polaków; znów Poznań — 2 tysiące 500 Polaków; wreszcie Niedolipie. W stanie Ohio mamy 84 tysiące 110 Polaków, głównie w miastach Cleveland i Toledo. W stanie Nowy-Jork — 333 tysiące 725 Polaków, głównie w miastach: Nowy-Jork —- 38 tysięcy; Brooklyn— 19 tysięcy; Buffalo — 71 tysięcy 500; Warszawa — 300. Ogółem biorąc — katolików Polaków mieszka w Stanach Zjednoczonych 2 miliony, liczba zaś kapłanów polskich nie przenosi 300. Co więcej — Polacy katolicy nie posiadają tam ani jednego biskupa, gdy katolicy Niemcy posiadają 13 biskupów i 2 arcybiskupów swojej narodowości, nie mówiąc już o katolikach Irlandczykach, którzy trzymają w swych rękach najliczniejsze, najbogatsze dyecezye i archidyecezye. Ojciec Ś-ty i kardynałowie, rozpatrzywszy się w tych szczegółach, nadto wysłuchawszy objaśnień ks. Kruszki, przyznali, że istotnie katolicy Polacy w Ameryce są upośledzeni i przyrzekli, iż zadość się ich wymaganiom stanie, to jest, że uzyskają biskupów i arcybiskupów. Ks. Kruszka z radością zawiadomił o tem Polaków amerykańskich, nadmieniając, iż w Watykanie przyjmowano go bardzo życzliwie. Zwłaszcza tymczasowy sekretarz stanu, mgr Mery del Val, serdecznie się zainteresował prośbą Polaków. „Urodził się on — opowiada ks. Kruszka — w Londynie, ojciec jego był Hiszpanem, matka Angielką. Mówi płynnie po angielsku, więc też po angielsku z nim rozmawialiśmy. Osobistość to niezmiernie miła. Przy pożegnaniu odezwał się do mnie po polsku:

„Dobranoc“ i opowiedział, co następuje: — Kiedym razu pewnego przejeżdżał przez Kanadę, spotkałem na dworcu kolei gromadę Polaków. Znając kilka wyrazów polskich, odezwałem się do nich: „Dzień dobry“. Jakże się ucieszyli, gdy usłyszeli ode mnie słowo polskie! — Korzystając z chwili, rzekłem — (to jest rzekł ks. Kruszka do mgra Mery del Vala): — A jakżeby dopiero cieszyli się Polacy w Ameryce, gdyby z ust biskupa-rodaka usłyszeli słowo Boże!“

Poświęcenie kościoła. W dniu 23 sierpnia r. b. Jego Ekscelencya ksiądz biskup sandomierski dopełnił poświęcenia nowo zbudowanego kościoła parafialnego we wsi Dąbrowa, w powiecie opoczyńskim. Okolica opoczyńska nie bogata — gleba przeważnie żytnia — ludność jednak pracowita i zabiegliwa. Parafia przed 40-u laty liczyła 2000 dusz, dziś 3570. Kościołek drewniany, mały i niziutki, nie odpowiadał potrzebie. Przed kilkunastu laty uznano konieczność wzniesienia nowej świątyni, za ks. Pietrusińskiego rozpoczęto budowę, którą ks. Ludwik Woźniakowski (od 1894 r.) proboszcz, szczęśliwie do końca doprowadził. Kościół jednonawowy, styl gotycki — jedna wieża od frontu, kryty dachówką — okna piękne, gustownie malowane, dają dużo światła, ambona, ołtarze dwa marmurowe, trzeci nie ustawiony — posadzka w desenie — zakrystya bardzo wygodna — wejście na ambonę oddzielne — naprzeciwko zakrystyi kapliczka. Kościół dla dzisiejszej ludności wystarczy, byle ograniczono się na trzech ołtarzach. Łatwo dziś chwalić i mówić, że piękny kościół w Dąbrowie, ale ileż pracy i wytrwałych zabiegów podjąć musiał ten, na którym głównie budowa się opierała. Zapomnieć o tem może każdy, kto widzi dzieło dokonane, — to też ks. Woźniakowski nie wspominał o tem wszystkiem, tylko razem z parafianami cieszył się, że mogą powtórzyć: „Jakie miłe przybytki Twoje, Panie Zastępów!“

J. E. Pasterz dyecezyi, przybywszy do Dąbrowy, tegoż doznał wrażenia, a będąc otoczony duchownymi i tłumem ludu, przemawiał, bierzmował, w niedzielę zaś z wielkiem namaszczeniem aktu konsekracyi dopełnił — i sam pierwszą Ofiarę najświętszą odprawił, celebrując sumę; po południu znowu udzielał Sakramentu Bierzmowania i dopiero wieczorem nabożeństwo się skończyło. I w poniedziałek mnóstwo pobożnych do Świętych Sakramentów Pokuty i Bierzmowania przypuszczonych było. Wszyscy widząc Najdostojniejszego Pasterza, niestrudzonym w posługiwaniu pasterskiem, czuli się przejęci wdzięcznością — a pamiątka poświęcenia kościoła nietylko na kamieniu, ale w sercach całych pokoleń głęboko się wyryła. *F.*

Pierwszy hołd warszawian u stóp obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie. Cóż może być piękniejszego i wznioślejszego zarazem nad widok zespołu bratniego na tle idei religijnej, jednakowo wzruszającej serca i umacniającej ducha wśród ludzi różnych sfer towarzyskich?

I taki oto węzeł serdeczny zadzierżgnęli po upływie wieków całych warszawianie z bracią wileńską w dniu 20 września r. b. — po raz pierwszy...

I cudna jesień polska, wiosnę powtórną przypominająca, i nastrój uroczysty w tej ważnej chwili wśród pielgrzymów warszawskich panujący i ujmująca serca gościnność braci-litwinów, złożyły się na całość wielce harmonijną, bardzo dobrze wróżącą o pielgrzymkach następnych.

Zapoczątkowanie pielgrzymki do Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie przez Radę pielgrzymią warszawską, z p. Adamem Koziarskim na czele, przyjęte entuzyastycznie i poparte zostało przez liczne grono obywateli i obywatelek wileńskich. Prace przygotowawcze z obu stron zajęły parę tygodni czasu, aż nareszcie w d. 19 września r. b. zebrano się w kościele Ś-go Ducha (po-Paulińskim) w Warszawie na uroczystej Mszy Ś-tej w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej na intencyę szczęśliwej drogi, odprawianej przez ks. Romualda Jankowskiego. Po nabożeństwie wysłuchano światłej mowy tegoż kapłana, pełnej rad, przestróg i wskazówek i po poświęceniu daru Warszawy, wotum szczerozłotego w kształcie serca z herbem miasta u spodu i krzyżem mozaikowym rzymskim u góry — przyjęto błogosławieństwo kapłańskie na drogę.

W Wilnie, uroczej siedzibie dawnych królów i książąt litewskich, oczekiwała nazajutrz na dworcu kolei petersburskiej, deputacya obywatelska wileńska, która torując drogę do Ostrej Bramy, niezmiernie życzliwym wzrokiem obejmowała kompanię pierwszą — warszawską. Lud tłumnie zalegał chodniki pod Ostrą Bramą, ustępując miejsca w przejściu do kaplicy, umyślnie na ten czas dla warszawian opróżnionej.

Za chwilę, wśród ciszy głębokiej, przed rzęsiście oświetlonym ołtarzem, rozsunęły się zwolna zasłony i oczom warszawian ukazało się po raz pierwszy — przedziwnie piękne oblicze Cudownej Matki Boskiej Ostrobramskiej...

I trysnęły z ócz łzy rzęsiste, łzy wdzięczności i radośći, łzy pociechy i ukojenia, o, bo serca żarliwych czcicieli Najświętszej Bogarodzicy, najczęściej, u nas zwłaszcza, kruszą się w wezbranym łez potoku. Ta silnie rozwinięta uczuciowość w naszym kraju nieznaną jest wśród innych ludów i jakkolwiek żarliwie modli się lud litewski, to jednak o wiele mniej skłonnym jest do łez.

Mszę świętą na intencyę warszawian odprawił ks. Sperski, b. kapelan J. E. ks. biskupa Zwierowicza, poczem wystąpił i wzniosłą mową powitalną, ciesząc się z nawiązanej spójni duchowej po tak długiej rozłące i polecając wszystkich opiece Maryi.

I oto ciszę majestatyczną chwili przerwało łkanie, długo tłumione w piersiach pielgrzymów i popłynęły dźwięki pieśni ufności: „Pod Twoją obronę“...

Długi wąż pojazdów obwoził później warszawian po Wilnie, po miejscach godnych uwagi, wieczorem spowiadano się w katedrze Ś-go Stanisława do godziny 10 wieczorem, a nazajutrz, w dzień święta (podług starego stylu) Narodzenia Najświętszej Maryi Panny o godzinie 6 i $^1/_2$ z rana przystępowano w kościele Ostrobramskim Ś-ej Teresy do Komunii Ś-ej.

Dzień ten kraśniał ciepłem i pogodą słoneczną. W towarzystwie wielu wilnian udano się na Antokol, stamtąd promem na drugi brzeg Wilii i przy śpiewie chóralnym: „Serdeczna Matko — Opiekunko ludzi“, zapuszczono się w głąb jarów litewskich, do słynnej Kalwaryi.

Czaru puszczy litewskiej z niebotycznemi sosnami, świerkami i modrzewiem na wzgórzach falistych, opisać niepodobna. Sama Droga Krzyżowa, tak jak na Golgocie, wiernie odmierzona, posiada 35 stacyj— kaplic, z wymalowanemi widokami Męki Zbawiciela, Górę Oliwną, most i rzeczkę Cedron, i kościół Kalwaryjski na górze, na którą kilka pięter schodów wiedzie.

Obchodzenie Stacyj przez Warszawian trwało godzin kilka, poczem wysłuchano przemowy proboszcza kościoła Kalwaryjskiego i przyjęto serdecznie zaofiarowaną gościnę odpoczynkową na plebanii.

O zmroku wieczornym powrócono przez Słomiankę do brzegów rzeki Wilii, stąd zaś krypą wielką z prądem wody do miasta, wśród nieustannie śpiewanych chórem pieśni na cześć Najświętszej Maryi Panny.

Tak, dzień ten na długi czas zapisał się w sercu pielgrzymów warszawskich, upojonych pięknościami przyrody, modłami wspólnemi i sercami braci litewskiej.

Codziennie kilku dyżurnych obywateli wileńskich, na zmianę, towarzyszyło pielgrzymce warszawskiej przy zwiedzaniu pamiątek i miejsc świętych.

W dniu trzecim gościny wysłuchano wotywy uroczystej w kaplicy Ś-go Kazimierza, odprawionej przed zwłokami spoczywającemi w trumnie srebrnej. Zwiedzono bogaty i zasobny w pamiątki skarbiec katedralny, makaty, gobeliny, ornaty z haftami starożytnemi królowej Jadwigi i t. p.

Następnie przyszła kolej na najwspanialsze świątynie wileńskie: Katedry, Bernardynów, Ś-go Jana, Ś-go Ducha, Ś-ej Katarzyny, Bonifratrów, Ś-ej Teresy, Ś-go Piotra na Antokolu i t. d.

Na szczycie Góry Zamkowej „Baksztą“ zwanej, zdjęto z pielgrzymów podbiznę fotografiiczną w dwóch grupach. Na cmentarzu Rossa, złożono na grobie Syrokomli wieniec metalowy z napisem: „Lirnikowi wioskowemu — pierwsza kompania warszawska w 1903 r.“

Przy tej sposobności, na skutek odezwy piśmiennej ks. Marka Gujskiego, proboszcza kościoła we wsi Wrzos, gub. radomskiej, złożono pewną kwotę na rozszerzenie świątyni.

Wotum, dar warszawian, zawieszone zostało nazajutrz. Na sercu wyryto: „Umiłowanej — Ostrobramskiej, pierwsza kompania warszawska, poprowadzona przez Adama Koziarskiego w 1903 r.“ (Roboty złotnicze wykonał p. Konstanty Wolski, grawerskie i emalerskie — p. Stanisław Lipczyński).

Piąta wotywa kompanijna odbyła się w kościele Ś-go Piotra na Antokolu. Odprawił ją ks. F. Zawadzki, ostatni zakonnik z Kanoników Regularnych Lateraneńskich, poczem zwiedzono Śnipiszki, figurę cudowną Pana Jezusa i gaj bernardyński. Wieczorem, w środę, dnia 23 września, po długich a serdecznych podziękowaniach i pożegnaniach z obywatelstwem wileńskiem, zachwyconem pielgrzymką warszawian, powrócono szczęśliwie, bez wypadku.

Szósta i ostatnia wotywa na intencyę pomyślnie dokonanej pielgrzymki, odbyła się w piątek, 25 września, w Warszawie, w kościele Ś-go Ducha, gdzie po nabożeństwie, wspólnych modłach na rozmaite intencye i po odśpiewaniu pieśni „Pod Twoją obronę“, rozchodzono się do domów z żalem za chwilami ubiegłemi. Drugą pielgrzymkę postanowiono odbyć w roku przyszłym d. 25 czerwca.

Oto — jakie odniesiono wrażenia!...

Jubileusz pięćdziesięcioletni kapłaństwa księdza kanonika Gryglewskiego, proboszcza siemkowskiego, dziekana wieluńskiego, dyecezyi kujawsko-kaliskiej.

W styczniowym zeszycie „Dzwonka Częstochowskiego“ czytaliśmy o kompanii siemkowskiej, która licznie przybyła na Jasną-Górę w sierpniu zeszłego roku, mając na czele swego proboszcza, ks. kanonika Gryglewskiego. Czcigodny kapłan, doszedłszy lat jubileuszowych kapłaństwa, pragnął przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej odprawić dziękczynną Mszę Świętą. Z tą jego myślą łączyło się postanowienie, aby przy pomocy Bożej, gdy budowa plebanii zostanie ukończoną, odprawił w Siemkowicach jubileusz, według wymagań rytualnych i zwyczajowych.

Otóż w dniu 2 września przeznaczonym na poświęcenie nowej plebanii odbył się zarazem i ów jubileusz. Przybyło na tę rzadką uroczystość przeszło sześćdziesięciu księży. Obywatelstwa ziemskiego, przedstawicieli różnych stanów, ludu wiejskiego z siemkowskiej i sąsiednich



Ks. kanonik Justyn Gryglewski, Jubilat, w otoczeniu przyjaciół i parafian.

parafij takie zebrało się mnóstwo, że nietylko kościół, ale nawet cmentarz i okoliczne place kilkotysiączne zaległy rzesze.

Po poświęceniu plebanii, dokonanem przez ks. Bagińskiego, prałata katedry sandomierskiej, który był także archidyakonem uroczystości jubileuszowej, nastąpiło składanie darów, przyczem przemówił serdecznie ks. kanonik Gutman, proboszcz z Kraszewic, kondekanalny Jubilata. Dekanat wieluński, jako swojemu dziekanowi, złożył wspaniały, srebrny, grubo złocony kielich, wielce artystycznej roboty, oraz pięknie wykonany portret Jubilata. Kapłani sąsiedniego dekanatu noworadomskiego, ofiarowali także kielich srebrny, pozłacany. Parafianie siemkowscy złożyli piękny kosztowny ornat. Księża wikaryusze, niegdyś siemkowscy, a dziś zajmujący samodzielne stanowiska, na pamiątkę, że zasiadali u jednego stołu z Jubilatem i należeli do jego kółka domowego, ofiarowali serwis stołowy. Serkowski, stary przyjaciel domu, ozdobił nową plebanię wspaniałemi żyrandolami i lampami, wyrobionemi w swojej fabryce i wiele innych.

Potem nastąpiła uroczysta procesya do kościoła.

Wspaniały istotnie był widok, gdy Czcigodny Jubilat, poprzedzony przez liczne szeregi duchowieństwa, bractwa z światłem i chorągwiami wśród bicia dzwonów i pieśni grzmiącej z tysiąca piersi: „Kto się w opiekę“ przestąpił próg świątyni, a padłszy na kolana przed Najświętszym Sakramentem, dziękował Bogu za te łaski, jakie w ciągu 50 lat kapłaństwa odbierał, pracując dla chwały Bożej i dobra ludzkości. Po odśpiewaniu „Veni Creator“ — uwieńczeniu skroni i otrzymaniu symbolicznej laski, Jubilat odprawił Solenną Mszę, w asystencyi duchowieństwa. Kazanie wygłosił ks. Dratwiński, proboszcz z Naramic. Z wielkiem przejęciem się tak wielce uroczystą chwilą sławił owocne w cnoty i czyny chrześcijańskie życie Jubilata. Wygłosił to wszystko ku wielkiemu zadowoleniu i korzyści słuchaczów, wykazując czem jest kapłaństwo w społeczeństwie, gdy się je należycie pojmuje i sprawuje.

Po skończonem nabożeństwie, mimo utrudzenia, Czcigodny Jubilat dopełnił przepisanego ceremoniałem ściskania głów, a która to ceremonia przeciągnęła się do godziny 4-ej po południu. Utrudzenie Jubilata nie skończyło się ceremoniałem kościelnym; — na sercu i pamięci jego leżało przyjęcie setki gości z daleka na tę uroczystość przybyłych. Wszystkiemu temu podołał. Umysł jego istnie młodzieńczy o wszystkiem i o wszystkich pamiętał. To też nastrój serdeczny panował w gronie wszystkich uczestników tej radosnej uroczystości, a podniesiony został wysoce odczytaniem telegramów i listów z różnych stron nadesłanych z życzeniami, poczynając od Ich Ekscelencyj księży biskupów: kujawsko-kaliskiego i lubelskiego, kolegi akademickiego Jubilata. Serdeczne przemówienia wielu duchownych i świeckich przeplatane by-

ły poważnemi okolicznościowemi śpiewami, pięknie wykonanemi przez chór amatorów. Na wszystkie przemówienia, Czcigodny Jubilat odpowiadał z werwą, wesołym humorem, a często rozweselającym dowcipem.

Prześliczna pogoda wielce przyczyniła się do uświetnienia tego dnia pamiętnego. Lud, korzystając z wielkiej liczby zebranych kapłanów, przystępował gromadnie do Świętych Sakramentów. Komunikujących się było około 500 osób.

W pięknem przemówieniu z ambony ks. Dratwiński powiedział: „W pracy trudnej i niewdzięcznej potrzeba przykładów żywych, podnoszących ducha i budzących siły. Gdy znajdziemy takie przykłady, hołd im złożyć winniśmy.“ Myśl ta głęboka znajduje odbicie w życiu Czcigodnego Jubilata. To też składamy Mu hołd wdzięczności i uznania za dobry przykład, jaki nam daje pracą na polu obowiązków tak kapłańskich, jak i obywatelskich. Oby Bóg wysłuchał modlitw i westchnień pobożnych. które się z tylu ust i serc wydobyły w kościele, w tym niezapomnianym dniu jubileuszowym i udzielał zdrowia i sił wiernemu słudze swojemu do długiej i pożytecznej pracy dla dobra bliźnich.

Jubileusz kapłana. Zasłużony w winnicy pańskiej Czcigodny proboszcz parafii Rzeczyca Ziemiańska, pod Kraśnikiem, gub. lubelskiej, ks. Julian Perzanowski obchodził w dniu 19 lipca r. b. 50-lecie swej pracy kapłańskiej. Niepragnący zaszczytów i odznaszeń ziemskich, całą swą działalność poświęcał dobru powierzonych sobie owieczek.

Dwudziestu paru kapłanów przybyło uczcić Jubilata i odprawić dziękczynne modły na jego intencyę. Przybyło także wiele ludzi z sąsiedniej parafii.

W niedzielę, po zwykłej procesyi przed sumą, nastąpiło wprowadzenie Jubilata do kościoła. Jubilat postępował pod baldachinem w otoczeniu duchowieństwa, poprzedzany dziewicami w bieli, pośród szeregów tłumu wiernych z jarzącemi świecami, ze śpiewem „Veni Creator.“ Przed ołtarzem starzec wzniósł ręce do błogosławieństwa, a kapłani i lud przyjęli je na kolanach. Jubilatowi wręczono laskę z krzyżem i włożono na głowę wieniec. Następnie Jubilat celebrował sumę. Słowo Boże z ambony wygłosił ks. Siekierzyński z Modliborzyc.

Wreszcie po odśpiewaniu „Te Deum“ Jubilat udzielał błogosławieństwa przez wkładanie rąk na głowy wszystkim zebranym, a pomimo wieku sędziwego i umęczenia nie ominął nikogo.

Oprócz wyżej wspomnianej uroczystości, w dniu 30 sierpnia, jubileusz ks. Perzanowskiego uczczono powtórnym obchodem, urządzonym przez kółko serdecznych przyjaciół, których złote serce Jubilata zjednać sobie potrafiło zastęp niemały. Zapraszany wielokrotnie, przybył Jubilat do swego kuzyna ks. Henryka Ciemniewskiego, proboszcza w Gręb-

kowie, gub. siedleckiej. Na uroczystość tę zjechało się 14 kapłanów, a ludu przybyło około 5,000, gdyż Jubilat dawniej pracował w tamtej okolicy. Wprowadzony uroczyście do kościoła Jubilat celebrował sumę, do której asystowało mu trzech księży jubilatów: ks. Stanisław Broniszewski z Węgrowa, ks. Kandyt Racinowski ze Starej Wsi i ks Koperski z Kałuszyna, archidyakonem był ks. Ciemniewski; Słowo Boże



Ks. Julian Perzanowski, proboszcz parafii Rzeczyca Ziemiańska, pod Kraśnikiem.

wygłosił z namaszczeniem ks. Ignacy Ciszewski z Kopic. Po skończeniu nabożeństwa z procesyą odprowadzono Jubilata na plebanię, gdzie wszyscy obecni składali mu serdeczne życzenia „ad multos annos." Do życzeń tych i redakcya „Dzwonka Częstochowskiego" dołącza wyrazy czci i głębokiego szacunku dla kapłana Jubilata, który, jako

prawdziwy uczeń Chrystusa, wszystkie swe czyny myśli i dążenia oparł na świętej miłości bliźniego. Pasmo długiego jego żywota, to jeden nieprzerwany łańcuch dowodów zrozumienia wielkiego przykazania zawartego w tych słowach Bożych: „*Ktoby powiedział, że miłuje Boga, a bliźniego by swego nienawidził — kłamcą jest.*“ Dalecy ciałem, lecz blizcy duchem, ślemy Ci, Przezacny Jubilacie, podarek z modlitwy, którą na Twą intencyę zanosimy u stopni Cudownego Ołtarza Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jubileusz ks. Stanisława Siedleckiego. Parafia Glen Lyon w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w dniu 9 czerwca przybrała odświętny wygląd: w kościele odbywało się uroczyste nabożeństwo, w fabrykach zawieszono prace. Wielu księży i ks. biskup Hoban przybyli, aby uczcić Jubilata z okazyi 25-letniej jego pracy kapłańskiej.

Rozpoczętą przez ks. biskupa Mszę świętą celebrował Jubilat, presbyterem asystentem był ks. Gramlewicz, funkcye dyakona sprawował ks. Szpotański, a subdyakona — ks. Drejer, mistrzem ceremonii był ks. Szmelsz, a kazanie wygłosił ks. Dutkiewicz z Priceburga.

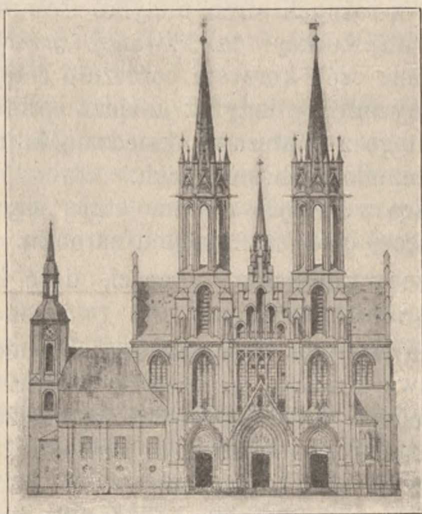
Po skończonej Mszy świętej ks. biskup Hoban, w mowie, zastosowanej do uroczystości podniósł prace i zasługi położone przez księdza St. Siedleckiego dla Kościoła katolickiego i narodowości polskiej, nawołując parafian, by pod kierownictwem swego światłego proboszcza wytrwali w wierze ojców, z którą jak najściślej związana jest nasza historya.

Białystok. Skromny kościołek w Białymstoku zbyt szczupłym był dla rzymsko-katolickiej ludności, podjęto zatem myśl rozszerzenia go. Na skutek usilnych starań miejscowej ludności katolickiej, w 1900 roku uzyskano na to pozwolenie. Natychmiast wzięto się energicznie do dzieła.

Dziekan białostocki, ks. kanonik Wilhelm Szwarc, oraz wikaryusze: ks. Teodor Brażis i ks. Grodzki, w gorących przemowach zachęcali ludność do niesienia ofiar na tak piękny cel. Rozrzewniającą była scena, illustrująca ofiarność parafian Białostockich. Gdy po pierwszem przemówieniu ks. kanonik Szwarc schodził z kazalnicy, pewna staruszka żebraczka wetknęła mu do ręki węzełek z całym swym majątkiem, jaki zebrała, chodząc na kulach przez wiele lat. A grosz ten prawdziwie wdowi wynosił około 10 rubli miedziakami.

Nie czekając aż zbierze się znaczniejszy fundusz, z ufnością w pomoc Boga i ludzi dobrej woli, przystąpiono do budowy kościoła, i w dniu 11 czerwca 1900 r. dokonano poświęcenia nowozałożonych fundamentów.

P. p. Wieczorek i Jakoby, miejscowi obywatele, położyli wiele zasług w sprawie budowy kościoła swą gorliwą uczynnością. Wielu z zamożniejszych obywateli hojne składało dary. Zmarły w dniu 19 września r. b. ś. p. Jakób Sakowicz, obywatel i były marszałek szlachty powiatu białostockiego, oprócz wielu innych ofiar. złożył 12,000 rubli na sprawienie organów; zacny ten obywatel wzbudził po sobie szczery żal. Miejmy, nadzieję, że szereg tych pięknych czynów, jakie zmarły



Widok rozszerzonego kościoła w Białymstoku.

świadczył dla społeczeństwa będzie pobudką dla pozostałej rodziny do uświetnienia jeszcze więcej jego pamięci.

Prezesem budowy jest ksiądz dziekan białostocki, kanonik Wilhelm Szwarc, członkiem nadzoru budowlanego p. J. Rymiński. Plan przebudowy kościoła sporządzony został przez warszawskiego budowniczego p. Dziekońskiego, i przedstawia kopię kościoła Ś-go Floryana na Pradze. Roboty prowadzi p. Wędrowski z Warszawy.

Mury nowego kościoła w większej części zostały już wzniesione. Brak funduszów opóźnia dalszy postęp robót, których przyśpieszenie zależeć będzie od ofiarności społeczeństwa. Miejscowa ludność katolicka nie zbyt zamożną jest, gdyż w większej części składa się z pracowników fabrycznych.

Oby Bóg Najwyższy jak najrychlej pozwolił zacnym kapłanom białostockim doprowadzić rozpoczęte dzieło do końca i odprawić dziękczynne modły w nowej świątyni.

Jałta. Jałta słusznie uważaną jest za najlepszą z kuracyjnych miejscowości w Rosyi na choroby piersiowe. Wyborny klimat krymskiego wybrzeża, bogata roślinność oraz kąpiele morskie ściągają coraz większą liczbę osób z różnych stron nietylko Cesarstwa, lecz i zagranicy dla odbywania tutaj kuracyi tak zwanej „*winogronowej*." I z Królestwa Polskiego wiele osób korzysta corocznie z tej kuracyi. W roku bieżącym widzieliśmy między innymi: księdza profesora Godlewskiego i księdza Koskowskiego z Warszawy, księdza Malinowskiego z Łodzi, kilku kleryków i niemało osób świeckich.

Ponieważ okolica z każdym rokiem staje się ruchliwszą, osiedla się w niej coraz więcej osób szukających zarobku.

Duchowe potrzeby katolickiej ludności, dość licznej już w Jałcie, cierpiały wskutek braku kościoła.

Kilkakrotnie dawniej już podejmowano starania w celu uzyskania pozwolenia na budowę kościoła, wreszcie w 1898 r. otrzymano takowe. Do uzyskania pozwolenia wiele przyczynił się książę Murat, on też własnym kosztem sporządzić w Paryżu plan kościoła. Kościół stanąć ma w stylu gotyckim, wykonany z granitu.

Dziekan symferopolski, obrządku ormiańskiego, ks. Grzegorz Saparow zajął się energicznie budową kościoła dla katolików i zbieraniem na ten cel składek. Za 12,000 rubli zakupiono 500 kwadratowych sążni ziemi, na której w 1898 r. założono fundamenta pod nowy kościół, oraz dokonano poświęcenia kamienia węgielnego W uroczystości tej uczestniczył bawiący tam wówczas na kuracyi O. Pius Przeździecki, Paulin.

W 1899 r. Ministeryum spraw wewnętrznych wydało pozwolenie na publiczne zbieranie składek.

Około 40,000 rubli zebranych od różnych osób włożono już w budowę kościoła, a według kosztorysu brakuje jeszcze około 20,000 rubli.

Mury wzniesiono już pod dach, lecz brak funduszów wstrzymuje postęp dalszych robót.

Jałta leży na wybrzeżu morza Czarnego, odległego o cztery godziny jazdy statkiem od Sewastopola. Obecnie projektowanem jest połączenie tych dwóch miejscowości koleją żelazną.

Przybywający do Jałty katolicy otrzymują wszelkie informacye, pomoc i mieszkanie w miarę możności u kościelnego.

Koszt pobytu w Jałcie wynosi około 40 rubli miesięcznie.

Ofiarowany na rzecz budowy kościoła piękny obraz profesora Duzy'ego, komitet pragnie sprzedać za cenę znacznie niższą od tej, jaką oznaczyli znawcy, byle jak najprędzej zdobyć potrzebny fundusz na na ukończenie tak bardzo potrzebnej świątyni.

Tomsk. Rozległa gubernia Tomska, ciągnąca się 1300 wiorst z północy na południe i 985 wiorst z zachodu na wschód, dotąd stanowiła jedną rzymsko-katolicką parafią.

Z przeprowadzeniem kolei Syberyjskiej, ludność katolicka zaczęła się znacznie powiększać przez napływ nowych mieszkańców, przeważnie z gub. Witebskiej, Grodzieńskiej, Wileńskiej, Mohilewskiej, Mińskiej i Kowieńskiej. Nowi ci przybysze osiadali na nadawanych im przez rząd ziemię, tworząc wiele nowych osad (posiołków), do 1000 osób liczących.

Jeden kościół parafialny nie mógł zaspokoić potrzeb duchowych tak obszernej parafii. Wskutek tego w r. 1901 uzyskano pozwolenie na utworzenie dwóch nowych parafij.

Z powiatu Maryińskiego powstała parafia *Barokówka*, 7 wiorst odległa od stacyi kolejowej Itat. Pierwszym proboszczem tej parafii był ks. Michał Olechnowicz, zamieszkały w Tomsku od r. 1864, a zmarły 9 stycznia r. b Zacny ten kapłan testamentem rejentalnym zostawił na budowę kościoła 9,000 rubli Sumę tę ksiądz T. Denikis, obecny proboszcz w Tomsku, złożył w banku, dołączywszy do niej 700 rb., zebranych z dobrowolnych ofiar. Kościół ma stanąć drewniany. Dotąd zwieziono już materyał na budowę plebanii i 64 sążni kubicznych kamieni na fundament kościoła. Budowa obecnie wstrzymaną została, gdyż komitet jej wskutek śmierci prezesa, ks. Olechnowicza i wyjazdu wiceprezesa — von Ziegernkorna, prawie zupełnie się rozchwiał.

Mieszkańcy posiołków, leżących po drugiej zachodniej stronie Maryińska, jak Wiazemskiego, Złotogorskiego, Kokorewskiego, podjęli projekt budowy kaplicy w m. Maryińsku. Komitet utworzył się 11 czerwca roku bieżącego, prezesem jest proboszcz z Tomska, ksiądz T. Denikis, wice-prezesem p. Ułanowski — aptekarz, a skarbnikiem p. Antoni Zaremba.

Z powiatu Kaińskiego utworzyła się parafia *Spaska*. Dotychczas był tam tylko dom modlitwy, zbudowany przez ks. Gromadzkiego i ks. Mosieja, obecnego administratora nowej parafiii. Obecny nowy kościół murowany, zaopatrzony już jest we wszystkie aparaty kościelne, z których kielich srebrny pozłacany jest darem Arcybiskupa warszawskiego, ks. W. Popiela.

W roku bieżącym, staraniem ludności katolickiej miasta Kaińska i okolicznej, uzyskano pozwolenie na budowę murowanej kaplicy w Kaińsku. Komitet utworzył się 25 czerwca r. b., na którego czele stoi prezes, ks. Denikis, proboszcz z Tomska, wice-prezes Kazimierz Gedgow — on ofiaruje plac pod budowę i dom, skarbnik Kazimierz Kizejlis — aptekarz, inżynier Pretasewicz, Suleja i wielu innych z miejscowej inteligencyi.

Plan wykonał p. Wolski — notaryusz, główny inicyator budowy.

W ten sposób parafia tomska zmniejszyła się o dwa powiaty z ludnością około 10,000 osób, pomimo to jest jeszcze bardzo rozległą i liczy około 13,000 parafian. I w tej parafii pozwolono na budowę kaplicy w posiołku Dwuręcznym i Michajłówce, zwanym pospolicie Lanckoroną, gdyż osiedlili się w nim przeważnie wychodźcy z Lanckorony.

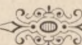
Pozwolono również na budowę kaplicy w Nowomikołajewsku, mieście powstałym na sposób iście amerykański. W 1895 r. na miejscu miasta była jeszcze pustynia, w 1897 r. liczyło już 16,000 mieszkańców, a obecnie liczba ta wzrosła do 25,000 i w roku bieżącym Nowomikołajewsk został zatwierdzony jako miasto.

Katolików, stale tam mieszkających, liczy miasto około siedmiuset, większą część stanowią urzędnicy kolejowi i przemysłowcy. Komitet budowy kaplicy utworzony w 1902 r. składa się: z prezesa ks. T. Denikisa, wice-prezesa Andrzeja Karwadzkiego, kasyera Marcina Brzeskiego i innych. Zawdzięczając energii komitetu w czerwcu roku bieżącego rozpoczęta budowa plebanii została już ukończoną, ponieważ jednak niema jeszcze kapłana, urządzono w niej prowizoryczną kaplicę 7 arszynów szeroką, a 19 długą, cała zaś plebania zajmuje przestrzeni 247 kw arszynów. Kaplicę tę zaopatrzono w najpotrzebniejsze aparaty, których większą część stanowią dary p. Maryi Nitosławskiej z Witebska.

Jakkolwiek parafia Tomska obsługiwaną jest przez proboszcza, dwóch wikaryuszów i dwóch księży, 70-letnich starców, niedostateczność opieki duchowej daje się bardzo odczuwać, i wiele ludzi umiera bez Sakramentów Świętych, a dzieci bez Chrztu Świętego, wskutek olbrzymiej odległości od kościoła.

Oprócz wyżej wymienionych kościołów i kaplic, w Rosyi przedsięwzięto budowę kościołów w wielu innych jeszcze miejscowościach, jak: *w Penzie, Czicie, Samarze, Krasnojarsku, Kijowie, Ługańsku* i innych.

Lublin. Jego Ekscelencya ks. biskup Jaczewski w d. 30 sierpnia r. b. udzielił święceń kapłańskich dwom dyakonom seminaryum lubelskiego, mianowicie: Ludwikowi Bemalla i Feliksowi Frankowi. Ten ostatni niedawno był na Jasnej-Górze i w odprawionej przed Cudownym Obrazem Wotywie Konwenckiej błagał o błogosławieństwo dla siebie na tak ważną drogę życia.



Książki nadesłane do Redakcyi.

„Kalendarz Maryański, na rok przestępny 1904." Drukiem i nakładem Karola Miarki w Mikołowie. Wydawnictwo to dobrze jest znajome polskim rodzinom katolickim, gdyż od lat dwudziestu zjawia się pod ich strzechami. Z pożytkiem łączy godziwą rozrywkę, zawiera bowiem nietylko wskazówki wyłącznie kalendarzowe, ale także liturgiczno-kościelne i wiele innych, niezbędnych w życiu codziennem, po za tem zaś liczne powiastki, wierszyki, artykuły z zakresu wiedzy ludzkiej. Wszystko to podane jest zajmująco, jasno treściwie, urozmaicone wieloma pięknemi obrazkami. Myśl zacna, religijna: cześć dla Maryi Bogarodzicy, tchnie z tej dobrej, godnej rozpowszechnienia, a niezwykle taniej, bo 35 kop. tylko kosztującej, książki.



Od Redakcyi.

Szanownemu ks. Ig. Gut. w Żyg. Premia i żądane książki wysłaliśmy. Niech Bóg stokrotnie nagrodzi za życzliwość dla naszego pisma.

Szanownemu ks. Ferd. Ziel. w Lip. Za błogosławieństwo i uznanie dla naszej pracy dziękujemy serdecznie.

Szanownemu ks. Radusz. w Wierzb. Zrozumienie naszej pracy przez Braci kapłanów dodaje otuchy do wytrwałości. — Bóg Wam zapłać za dobre słowo!

Szanownemu ks. Łak. w Remb. Adres zmieniony. Cenimy Waszą życzliwość dla nas.

Szanownemu ks. Fr. Szpot. z Wys. Przesyłkę otrzymaliśmy. Premia oba wysłane. Dziękujemy z serca za życzenie wszelkiego dobra.

W-nemu P. Piwn. w Gosz. Dla Boga i bliźnich pracować jest najmilszym obowiązkiem, a uznanie przez ogół dobrych chęci naszych, dodaje wytrwałości.

Szanownemu ks. Zdan. w Bohusł. Wszystkie tomy do 1 stycznia wysłane, także premium i 4 obrazki. — Braterskie uściśnienie przyjmijcie za wyrażone nam słowa uznania.

Szanownemu ks. Żych. w Mąk. Przekaz otrzymaliśmy i dziękujemy. Prenumerata opłacona do 1 stycznia 1904 r.

Szanownemu ks. Kras. w B. Uwaga Szan. ks. Dobrodzieja zupełnie słuszna: postaramy się z niej skorzystać. Prenumerata opłacona do końca r. b. Za życzliwość stokrotnie dziękujemy.

W-nemu P. Rog. w Zabl. Premia może Sz. Pan odebrać z kantoru „Dzwonka Częstochowskiego“ w Warszawie (Mokotowska 47).

W-nej P. F. Kr. w Wiłk. „Tajemnice Talmudyczne“ wysłane. Za przesyłkę należy się nam 10 kop.

W-nemu P. F. Wiel. w An. Zapytanie pańskie w kwestyi wiadomego przekazu przesłaliśmy pod właściwym adresem. — Premium bezpłatne „Dzwonka Częstochowskiego“ otrzymają ci prenumeratorowie którzy wniosą prenumeratę odrazu lub też ratami za cały rok od 1 stycznia. — Żądany katalog postaramy się przesłać Sz. Panu.

W-nemu P. Ild. Per. w Czecz. Tom VII posłaliśmy Sz. Panu powtórnie pod nowym adresem. — Prenumerata opłacona do 1 października roku bieżącego. Niech Bóg błogosławi na nowem miejscu.

W-nemu P. J. Gruź. w P. Przekaz na 3 rb. otrzymaliśmy. Prenumerata opłacona za cały rok bieżący.

Szanownemu ks. kan. A. Szl. w Dz. Przekazu na 4 rb., o którym Szanowny ks. Dobrodziej wspomina w liście z dnia 11/7, dotychczas nie otrzymaliśmy.

Szanownemu ks. M. K. Portret fotograficzny większych rozmiarów J. E. ks. biskupa Zdzitowieckiego można nabyć w administracyi naszego pisma.

W-nemu P. Mich. Now. w Irkucku. Pięć rubli przekazem odebraliśmy. Prenumerata opłacona do 1 kwietnia 1904 r. i nadto pozostaje 20 kop. do rozporządzenia. Niechaj Królowa Jasnogórska nie wypuszcza Pana nigdy ze swej opieki!

W-nemu P. Ild. Peredn. Przekaz na rb. 4 kop. 19 otrzymaliśmy. Zawiadomiliśmy także o tem p. F. Bohdziuka. Życzymy Wam błogosławieństwa Bożego i opieki Matki Boskiej na nowem miejscu zamieszkania.

Szanownemu ks. Makar. w Sokoł. Przesyłkę otrzymaliśmy. Intencya spełniona.

W-nemu P. Ad. Wróbl. w Rewlu. List i przekaz otrzymaliśmy. Wszystkie życzenia wyrażone w liście zostały spełnione.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, którzy nie wnieśli jeszcze prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

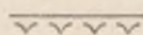
Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę na „Dzwonek Częstochowski“ wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną Górą.



Treść tomu XI, listopadowego 1903 r.,

ogólnego zbioru XXIX.



ILLUSTRACYE:

